Dziś w numerze: Eks-łodzianie • Kariery naukowe i artystyczne • Uwaga, nadchodzi... • Strindberg, wielki Strindberg! • Rozbitkowie • Recenzje • Wiersze • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 29 (391)
24. VII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Przed Kongresem Kultury Polskiej

Rozmowa z I sekr. KŁ PZPR – tow. Józefem Spychalskim

ODGŁOSY: Sprawy kultury są od pewnego czasu w Łodzi chyba najważniejszym tematem dnia. To zapewne nie przypadek i możemy dopatrywać się w trybie roboczym ich dyskutowania optymistycznych sygnałów zapowiadających, iż polityka kulturalna zyskuje jeszcze wyższą niż dotychczas rangę. Czy tak jest w istocie?

TOW. J. SPYCHALSKI: Uważam, że polityka kulturalna i uprzednio zajmowała poczesne miejsce w naszych pracach. Prawda jest jednak i to, że łódzka wiosna i lato 1966 roku upływają pod znakiem wyjątkowego zainteresowania tą problematyką: sejmik kultury i sesja wyjazdowa MKiS dały temu szczególny wyraz.

Szerokie społeczne dyskusje przygotowawcze były, jak nam się wydaje, bardzo owocne: ktoś nazwał dowcipnie nasze sejmiki „kulturalnym koncertem życzeń", ale ta nazwa pasowała tylko do ich etapu wstępnego. Później ze spontanicznie zarysowanego „programu marzeń" zaczął się wyłaniać zarys istotnie najważniejszych potrzeb, a z kolei i spośród tych postulatów musieliśmy rozważnie wyłuskiwać **to, co już jest możliwe do zrealizowania.** Bo przecież w tej dziedzinie — jak i w innych — nasze potrzeby i apetyty rosną szybciej, niż możliwości ich zaspokojenia. To już prawidłowość.

ODGŁOSY: Czy na tle tak szerokiej dyskusji można mówić o zaistnieniu jakichś nowych elementów w naszej polityce kulturalnej?

TOW. J. SPYCHALSKI: Zapewne. Ze społecznych dyskusji i roboczych rozmów z resortem na kolegium wyjazdowym MKiS wyłonił się konkretny i w wielu elementach nowy program działania. Opiera się on — między innymi — **na świadomym mecenacie naszego państwa i organizacji społecznych nad środowiskami twórczymi.**

W tej dziedzinie ogromną wagę ma oświadczenie ministra tow. Motyki, **iż Łódź będzie korzystać z preferencji należnych jednemu z czołowych przecież w kraju ośrodków kulturalnych.** Oznacza to, iż pora ostatecznie skończyć z wszelkimi kompleksami prowincji. Czekają nas i bardziej intensywne kontakty z zagranicą i ambitniejsze związki z innymi krajowymi ośrodkami. A więc — i radości, i cięższe jeszcze obowiązki.

ODGŁOSY: Czy należy to również rozumieć jako zapowiedź, iż Łódź uzyska od dawna postulowane poważne imprezy kulturalne o zasięgu ogólnopolskim czy międzynarodowym?

TOW. J. SPYCHALSKI: W odpowiedzi powołam się na konkretny przykład: na naszym sejmiku wpłynął ciekawy wniosek o zorganizowaniu w Łodzi **Światowego Bien-**

Dalszy ciąg na str. 3

PIĘKNE dzielnice

Łódzki Żoliborz

Żubardź to pojęcie, którego treść przez dziesiątki lat wypełniały małe drewniane chałupki, ogródki, gołębie, żytko i to wszystko. Obecnie chałupki wrosły w bloki, ogródki w skwery, gołębie wyfrunęły, żytko skoszone. Zostały tylko klony na Klonowej ulicy. Dzielnica stała się „na pokaz". Do niedawna gości wiozło się jednak szybko, by nie zdążyli zauważyć braku sklepów i komunikacji. Dziś można już ich wieźć o wiele wolniej.

Niegdyś zamieszkiwali tę dzielnicę łódzkie „łyki" — stare rody chłopskie, potem mieszczańskie. Najsłynniejsi z nich, Drewnowscy upamiętnili się własną ulicą. Po innych ślad zaginął ich potomkowie przenieśli się do nowych bloków i nić tradycji została przerwana. Jest ta dzielnica częścią Bałut złej legendy i dobrych przemian. Zmiany zniosły z powierzchni stary układ społeczny, zniosły też większość ruder, zastępując je fotogenicznymi blokami na wysoki połysk. Nowe bloki mocno zaparte w ziemie tworzą nową twarz dzielnicy. Wprawdzie pozostawione jeszcze tu i ówdzie stare rudery psują ogólną harmonię, ale mają za to pedagogiczną wymowę.

Kontrast ten nowi mieszkańcy mogą codziennie oglądać z okien swych oszczędnościowych mieszkań. Zrodziły bowiem tę dzielnicę nie tylko potrzeby, ale i możliwości ekonomiczne ostatnich lat.

Zabłąkanemu w tej dzielnicy turyście rzuca się przede wszystkim w oczy duża ilość budynków szkolnych, 80 procent dzieci Bałut uczy się już w nowych szkołach. W ostatnich kilku latach oddano tu do użytku 8 szkół, 9 bibliotek, 2 przychodnie zdrowia, 7 przedszkoli i 46 sklepów i 42 zakłady usługowe.

Rzecz bardzo znamienna, że nić handlu i usługa znacznie przyspiesza procesy integracyjne w nowych osiedlach. Oczywiście najprzód „integrują" się dzieci i młodzież na podwórkach, następnie dorośli podczas czynienia zakupów. Personel sklepowy jest tu o wiele bardziej uprzejmy niż w śródmieściu. Dla ekspedientek kupujący przestali być zdepersonalizowaną masą klientów, lecz panią Kowalską, która lubi kalafiory, panem Nowakiem, któremu choruje żona, panną Kozłowską, która zawsze kupuje chleb mleczny z majerankiem. Klienci z kolei znają imiona sprzedawczyń.

Pierwszy etap integracji dzielnica ma już za sobą. Większość osób zna się z widzenia. Choć nie wszyscy się sobie kłaniają, nie ma jednak takich, co już by się sobie nie kłaniali. Na stosunki między sąsiadami nie rzutuje ciężar przeszłości. Nie liczy się pochodzenie, ani biografia, liczą się tylko postawy i charaktery. Integracja, która się realizuje tworzy zdrowe układy społeczne. Komitety blokowe na Żubardziu pracują najaktywniej.

Najistotniejsze więc przemiany nie tkwią w standardowej architekturze, lecz w charakterze więzów społecznych. Żubardź zrzucił z siebie piętno Bałut. To obecnie jedna z najspokojniejszych dzielnic miasta, notuje się tutaj najmniej przestępstw. Dzisiejszy Żubardź stanowi średnią przemian socjalistycznych. Mieszkania obowiązkowo wyposażone w telewizję, lodówki, ludzie czytają interesują się sportem i chodzą do kina. Oto kształt nowego modelu, w którym elementy cywilizacji górują jeszcze nad ele-

Dalszy ciąg na str. 2

Kronika tygodnia

NIEDZIELA

Enwer Hodża zainicjował „albański proces odnowy" wzorowany na chińskiej akcji „kulturalnej rewolucji"

* * *

Anatol Dobrynin, ambasador ZSRR w USA opuścił Waszyngton i udał się do Moskwy. Koła poinformowane nie wykluczają, iż jest to wyraz radzieckiego niezadowolenia z polityki USA w Wietnamie.

* * *

Prasa amerykańska zwraca uwagę na poziom i treść wojskowych gazet przeznaczonych dla żołnierzy walczących w Wietnamie.

Oto parę czołówkowych tytułów z tych pisemek:

„Porucznik uwiódł moją żonę!"

„Uniewinniony od zarzutu gwałtu!"

„Zbił ją pejczem, a potem już było świetnie..."

* * *

Gorąca linia, która ma połączyć Moskwę z Paryżem z przyczyn technicznych i dyplomatycznych przebiegać będzie prawdopodobnie przez Skandynawię.

PONIEDZIAŁEK

NRF ma poważne kłopoty z kupionymi w USA myśliwcami typu Starfighter: już ponad 60 takich maszyn uległo katastrofie.

* * *

28 osób zostało postawionych w stan oskarżenia po wykryciu spisku antyrządowego na Cejlonie. Na czele spisku stał generał Udugama, dowódca armii Cejlonu. Mówi się, iż był on inspirowany przez ambasadora Stanów Zjednoczonych.

* * *

Kuba i Hiszpania wznowiły kontakty dyplomatyczne, zerwane od roku 1959.

* * *

W Grimsby (Anglia) pięciu rybaków stanęło przed sądem pod zarzutem uprawiania piractwa. Opanowali oni siłą statek rybacki, obezwładnili jego szypra i tylko dzięki przypadkowi nie uprowadzili ów trawler należący do pewnej brytyjskiej spółki armatorskiej. Jest to pierwszy przypadek piractwa od wielu lat — oświadczył rzecznik floty handlowej. — Traktujemy go jako ostrzeżenie!

WTOREK

W USA mnożą się wypadki odmowy udziału w wojnie wietnamskiej. Z Fortu Dix donoszą, iż 3 młodych żołnierzy odmówiło wykonania rozkazu, gdy ich macierzysty oddział przygotowywał się do odlotu na tereny wojenne. Żołnierze ci przystąpili do strajku głodowego pod hasłem „Skończyć z tą brudną wojną".

* * *

Burzliwe zajścia w Chicago znów postawiły w centrum uwagi opinii publicznej amerykański problem rasowy. Zginęło 3 Murzynów, dziesiątki innych zostało rannych.

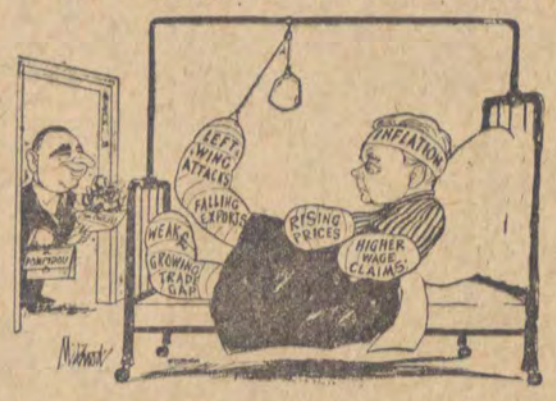

Pompidou do Wilsona: — Mam nadzieje, że to nic poważnego?

* * *

Szwajcaria nie zgodziła się na organizację sesji Światowej Rady Pokoju na terytorium tego państwa. Decyzja ta zapadła pod dyplomatyczną presją USA.

* * *

Fidel Castro wziął udział w obchodach rocznicy zdobycia Bastylli i z okazji francuskiego święta narodowego złożył wizytę w ambasadzie francuskiej w Hawanie.

* * *

Drugi sekretarz ambasady USA w Pradze, Reynolds został relegowany z CSRS pod zarzutem uprawiania szpiegostwa.

ŚRODA

Zachowanie angielskich piłkarzy na mistrzostwach świata wywołało zbiorowy protest prasy angielskiej. „Grają nie — fair — i zachowują się jak prostacy. Mimo, iż królowa była jeszcze w swej loży, te primadonny piłkarskie opuściły boisko natychmiast po gwizdku!"

* * *

New York Times przyznaje, że lotnictwo USA prowadzi już stałe akcje bojowe również i nad terytorium neutralnego Laosu. „Lata nad Laosem co dzień co najmniej sto naszych maszyn".

* * *

Przywódca Kurdów Mustafa Barzani oświadczył, iż zgadza się na pertraktacje pokojowe z Bagdadem. Może to oznaczać zażegnanie trwających od wielu lat krwawych walk wyzwoleńców tego bohaterskiego szczepu góralskiego.

* * *

Program wizyty generała de Gaulle'a w Bonn został „z przyczyn merytorycznych" skrócony do 24 godzin.

CZWARTEK

Plan pokojowy Indiry Ghandi sprowadza się do następujących zasad:

◇ powrót do układów genewskich z 1954 roku.
◇ ogłoszenie zawieszenia broni
◇ neutralizacja całego Wietnamu

Ponieważ plan ten przewiduje odwołanie wojsk USA z Wietnamu nie należy oczekiwać jego przyjęcia.

* * *

Straszliwa zbrodnia w Chicago wstrząsnęła całym światem: zboczeniec zamordował osiem uczennic szkoły pielęgniarskiej. Zarazem jest to — jak oświadczyły miejscowe władze policyjne — największa zagadka psychologiczna i kryminalistyczna ostatnich czasów.

* * *

Walter Gropius, słynny architekt i pedagog, oświadczył, iż współczesne 7 cudów świata to:

◇ Uroczysko Stonehenge
◇ Akropolis
◇ Meczet Hagia Sofia
◇ Wieża Eiffla
◇ Złoty Most w San Francisco
◇ „Wrota Wschodu" w St. Louis
◇ Chandigarh — dzieło Corbusiera.

PIĄTEK

Koca Popovic, 58-letni były minister spraw zagranicznych Jugosławii, został obrany przez parlament wiceprezydentem. Popovic jest intelektualistą, byłym partyzantem i zwolennikiem liberalizacji życia kulturalnego. Uważa się go, za serdecznego przyjaciela Tito i ewentualnego jego następcę.

* * *

W zachodnioniemieckiej miejscowości Daaden wybuchła groźna epidemia tyfusu. Ogniskiem jej stały się koszary, w których zachorowało kilkunastu żołnierzy. Również w sąsiednich miejscowościach stwierdzono wypadki choroby.

* * *

Samoloty izraelskie bombardowały budującą się na Jordanie zaporę wodną. Jeden z nich został zestrzelony przez myśliwce syryjskie.

Zachodnioniemieckie związki zawodowe wydały specjalne oświadczenie potępiające nazistowskie ekscesy w Mannheim. Jak wiadomo doszło tam do parokrotnych profanacji żydowskich grobów.

* * *

Brigitte Bardot (31 lat) wyszła za mąż za Günthera Sakse (33 lata), przemysłowca i „złotego młodzieńca". B. B. oświadczyła, że „pośpiech nie pozwolił jej powiadomić o ślubie nawet mamusi!"

SOBOTA

Wysoki urzędnik nepalski, który ostatnio powrócił z Pekinu, zdementował plotki o złym stanie zdrowia Mao-Tse-tunga. Przewodniczący Mao bardzo serdecznie i czynnie przyjmował delegację nepalską i nic nie wskazywało na ślady jakiejś jego choroby.

* * *

W Paryżu podano do wiadomości, że wizyta prezydenta de Gaulle'a wraz z żoną w Kambodży odbędzie się w czasie od 31 sierpnia do 2 września.

* * *

Helikopter radziecki zmusił do lądowania amerykańską maszynę, która pogwałciła przepisy graniczne obowiązujące w ruchu lotniczym nad NRD.

* * *

USA uznały juntę rządzącą obecnie Argentyną. „Prezydent Ongania jest człowiekiem silnej ręki — oświadczył rzecznik prasowy Białego Domu. — Możemy mieć zaufanie do jego antykomunistycznego nastawienia".

Ze świata

„Amerykańska polityka eskalacji wojny w Wietnamie jest polityką ślepą, beznadziejną, a zarazem niebezpieczną dla pokoju w świecie". Te słowa Władysława Gomułki, wypowiedziane z okazji uruchomienia wielkich zakładów azotowych w Puławach, dobitnie charakteryzują obecne działania Waszyngtonu. Podczas gdy wielu polityków poszukuje płaszczyzny osłabienia konfliktu — Stany Zjednoczone, wydaje się, zatraciły zupełnie poczucie rzeczywistości i żyją złudzeniami i błędnymi rachubami. Do takiego wniosku można dojść po ostatnim wystąpieniu Johnsona, w którym do języka politycznego wprowadził on nowe słowo: determinacja. Oznaczać to ma, że USA są zdecydowane osiągnąć „swe cele" w Wietnamie, nie bacząc, ile to będzie kosztowało, jak długo trwało i jak silna będzie opozycja zewnętrzna i wewnętrzna.

Określenie to jest czymś więcej niż tylko potwierdzeniem eskalacji działań wojennych w Wietnamie, ma ono — i tak przede wszystkim odczytane zostało przez komentatorów — przygotować opinię publiczną do wojny wieloletniej. Tym samym Johnson przyznał, że wbrew niektórym przepowiedniom wojskowych nie należy oczekiwać żadnych szybkich rezultatów.

Utknięcie USA w grzęzawisku równie niebezpiecznym co beznadziejnym skłania niektóre kraje do aktywności dyplomatycznej, mającej na celu wymanewrowanie Stanów Zjednoczonych z tej nieobliczalnej w skutkach awantury. Stąd właśnie w ostatnich dniach liczne przykłady t.zw. dyplomacji osobistej czyli spotkań i bezpośrednich rozmów, (żeby wspomnieć o wizycie Wilsona w Moskwie). Szanse osiągnięcia jakiegokolwiek postępu tak długo jednak nie będą zbyt wielkie, jak długo Waszyngton nie dokona zwrotu w swej polityce, porzucając myśl o nasilaniu agresji.

Skoro już mowa o spotkaniach zanotujmy, że po wizycie w Bonn (21 lipca) niespożyty de Gaulle planuje na koniec lata (25 sierpnia — 13 września) podróż, której trasa wynosić będzie ponad 40 tys. km. Zamierza on odwiedzić Azję, Afrykę i Oceanię. W związku z tym nasilają się w prasie zachodniej pogłoski o możliwości spotkania de Gaulle'a z Johnsonem. Mimo iż są one bardziej lub mniej stanowczo dementowane przez koła oficjalne — nie schodzą z łamów prasy.

Dzienniki w związku z tym przypominają, że „Francja znajduje się dziś w takiej sytuacji dyplomatycznej, iż może odegrać rolę mediatora i czynnika łagodzącego".

Podzielając tę opinię — chcielibyśmy tylko przypomnieć, że de Gaulle opowiada się za rozstrzygnięciem problemu wietnamskiego na płaszczyźnie układów genewskich i ostatnio w ostrej formie sprzeciwił się bombardowaniu przedmieść Hanoi i Hajfongu.

I jeszcze o jednym spotkaniu — zapowiedzianej na ostatnią dekadę lipca wizycie w Warszawie włoskiego ministra spraw zagranicznych — Amintore Fanfaniego.

Pisałem już kiedyś na tym miejscu o wzrastającej roli Włoch w polityce międzynarodowej. Tym bardziej więc należy zwrócić uwagę na ostatnie expose Fanfaniego w Izbie Posłów.

Podejmując problem wietnamski włoski minister spraw zagranicznych dał wyraz zaniepokojeniu rządu włoskiego z faktu bombardowania Hanoi i Hajfongu. Stwierdził on m.in.:

„Tym, którzy ubolewali z powodu tego, że rząd nie wypowiedział się w sprawie rozszerzenia bombardowań, chcę zwrócić uwagę, że ocena bombardowań zawarta była w wyrazach zadowolenia skierowanych do rządu amerykańskiego, kiedy postanowił je wstrzymać".

Z tekstu wystąpienia ministra, z wielu celowych podkreśleń i aluzji można wnioskować, że chce on wystąpić z inicjatywą mediacji w konflikcie wietnamskim. Czy będzie to miało miejsce właśnie w Warszawie — zobaczymy.

Komentarza doprasza się, na co niestety nie starczyło miejsca przed tygodniem, wynik wyborów w Nadrenii-Westfalii. Uzyskanie najwyższej liczby głosów przez SPD w tradycyjnym rejonie zwycięstw wyborczych partii Erharda zgodnie traktowane jest jako dotkliwa porażka kanclerza NRF i jego rządu. Z kryzysu zaufania — pisze prasa zachodnia — trzeba wyciągnąć wniosek przede wszystkim nakazu odnowy polityki niemieckiej.

Powszechnie ocenia się, że partia Brandta swój sukces wyborczy w dużej mierze zawdzięcza podjęciu rozmów z SED na temat wymiany mówców na wiecach, zorganizowanych w uzgodnionych miastach NRD i NRF. Poparcie dla socjaldemokratycznej Partii Niemiec w bardzo wielu wypadkach było więc poparciem dla dialogu, jaki powinien się rozwinąć między obu częściami Niemiec. Na tej bowiem tylko drodze — zbliżeń dwóch państw niemieckich — możliwe jest w perspektywie zjednoczenie Niemiec.

W. SŁAWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

mentami kultury. Następny etap to zrównanie proporcji. Wtedy Żubardź stanie się może łódzkim Żoliborzem.

K. BADZIAK

Nie ma ptaków w Dąbrowie

W tej Dąbrowie, całej ze szkła i betonu, jest ptaków tyle, co i na Piotrkowskiej. Jest tu może za to więcej niż w śródmieściu świergotu: radioodbiorników i telewizorów. Bo nowe inwestycje domowe trzeba przecież wypróbować na cały regulator. I ogłosić światu, a jeszcze lepiej sąsiadom, że się ich dokonało.

Tego technicystycznego świergotu jest zresztą teraz mniej w „starej" Dąbrowie wyznaczonej kwadratem ulic Śląskiej, Gałczyńskiego, Broniewskiego i Gojawiczyńskiej. Tej Dąbrowie, gdzie już trawniki, kwiaty i liche, niedawno posadzone drzewka, przyginane lada podmuchem wiatru. I gdzie coraz rzadziej pojawiają się ogromne, kryte samochody z napisem: MEBLE. Stabilizacja, której najmocniejszym dowodem są solidne, wbite na stałe w ziemię tabliczki oznaczające przystanki autobusów 61, 70 i 72. Jeszcze rok temu te tabliczki były ruchome, podobnie jak trasy MPK. Nigdy nie miało się pewności, gdzie przyjdzie ich szukać następnego dnia.

Ale Dąbrowa nie przestała być ogromnym placem budowy. Nie tylko dlatego, że dzień i noc mieszkańcom nowych bloków kurzą w okna czarnym dymem kominy betoniarni. I nie tylko dlatego, że ulicą Broniewskiego, centralną arterią osiedla bez przerwy kursują wywrotki z piaskiem i cementem. Na Dąbrowie, teraz w kierunku na Zarzew bez przerwy skalpuje się ziemię. W jej pejzaż na stałe wrosły potężne żelazne krany i o każdej porze pod niebem kołyszą się wielkie betonowe prostokąty gotowych budowlanych elementów.

Tutaj mieszka już ponad 20 tys. mieszkańców, czwarta część zaplanowanej liczby. To w końcu już miasto, choć Dąbrowa na razie udaje tylko miasto. Ma wprawdzie swoje centrum z miejską komunikacją, sklepami w szklanych pawilonach — grzybkach, z barem mlecznym, który wziął od niej nazwę, a nawet z apteką, na którą 3 lata przyszło czekać mieszkańcom. W centrum Dąbrowy zaczęto wznosić pierwszy plombowiec, który w miarę rosnących pięter podkreśla wielkomiejski charakter osiedla. Od biedy jest Dąbrowa samowystarczalna, już nie trzeba kilometrami wozić zakupów na śniadanie, czy kolację i portki można oddać do szycia do punktu na miejscu. Ale Dąbrowa udaje tylko miasto, bo nie ma choćby remizy strażackiej, w której we wsiach i maleńkich osiedlach wyświetla się filmy, nie ma ani jednej świetlicy z prawdziwego zdarzenia, nie ma ogródka do zabaw dla dzieci, placu do gry w piłkę.

Tę Dąbrowę nazywano wygnaniem, zsyłką, urzędnicy kwaterunków straszyli Dąbrową petentów. Rzeczywiście, pierwsze bloki zasiedlili lokatorzy „rozbiórek" i słynnej akcji wyprowadzania ludzi z poddaszy i strychów. Ale Dąbrowa już dawno ma swoich lokatorów z wyboru, klientów spółdzielni mieszkaniowej „Bawełna", którzy zapłacili ciężkie pieniądze, aby tu zamieszkać. Zresztą nawet ci „zsyłkowicze" dali się przekonać do osiedla, chodzili pracować w czynie społecznym, budowali ośrodek wypoczynkowy na Młynku, zgłosili się do prac przy układaniu pierwszej linii tramwajowej. Dąbrowa da się lubić. Podobno jest tu najlepsze w Łodzi powietrze, ale na pewno jest tu największe w skali miasta zainteresowanie

Przed Kongresem Kultury Polskiej

Rozmowa z I sekr. KŁ PZPR – tow. Józefem Spychalskim

Dalszy ciąg ze str. 1

nale Tkaniny Artystycznej. Mamy przecież w tej dziedzinie wielkie tradycje i znakomite osiągnięcia, zbyt jeszcze słabo spopularyzowane w kraju i za granicą. Minister wyraził wielkie zainteresowanie dla tego projektu i zapowiedział jego włączenie do planu resortu.

ODGŁOSY: To dobra wiadomość. Czyżby i z nią łączyły się jakieś troski?

TOW. J. SPYCHALSKI: Oczywiście, przecież brak naszemu miastu **nowoczesnego, godnego takiej imprezy pawilonu wystawowego.** To stara bolączka łódzkiego środowiska plastycznego. Obiekt ten nie mieści się w planie inwestycyjnym bieżącej pięciolatki, mamy jednak nadzieję, że przychylne zainteresowanie resortu umożliwi znalezienie rozwiązania, które by przyspieszyło realizację tego projektu. Byłby to piękny przykład stosowania wspomnianej już zasady preferencji wobec potrzeb naszego miasta.

ODGŁOSY: Tak więc łódzkie potrzeby kulturalne, jak widać, z reguły wiążą się z postulatami inwestycyjnymi. Czy zjawisko to potwierdziło się w trakcie dyskusji na łódzkiej sesji wyjazdowej MKiS?

TOW. J. SPYCHALSKI: Pałace potrzeby inwestycyjne dały o sobie znać ze szczególną siłą w trakcie omawiania problemów naszych wyższych szkół artystycznych. Warto tu wskazać na mecenat resortu przemysłu lekkiego, dzięki któremu w dużej mierze **już w bieżącej 5-latce zacznie się realizacja kompleksu gmachów dla Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych.**

To zresztą nie nowość, właśnie mecenat przemysłu stał się regułą w poczynaniach inwestycyjnych naszej politechniki. Ale, wracając do szkół artystycznych: w gorszej od plastyków sytuacji jest Wyższa Szkoła Muzyczna. Tu znaleźliśmy tylko doraźne rozwiązanie, polegające na wyprowadzeniu Średniej Szkoły Muzycznej ze wspólnego dotąd gmachu, ale to rozwiązanie, oczywiście, tylko czasowe. Szkoła Filmowa, stojąca również wobec palących potrzeb lokalowych i braku nowoczesnego sprzętu, oczekuje na robocze posiedzenie MKiS, wyłącznie jej sprawom poświęcone.

Wreszcie możemy zasygnalizować, iż od dawna nabolała sprawa **Domu Studenta Uczelni Artystycznych** ruszyła z martwego punktu: uzyskaliśmy akces ze strony władz wojewódzkich, które zdecydowały się partycypować w nakładach na ten cel. Jest to nowa forma współpracy między miastem a jego sąsiadem — województwem, współpracy w dobrze zrozumianym wspólnym interesie.

ODGŁOSY: Na sejmiku dużo mówiło się o problemach życia muzycznego w naszym mieście. Czy i w tym wypadku potwierdza się zasada, że bujnemu rozwojowi towarzysza wielkie kłopoty i troski?

TOW. J. SPYCHALSKI: Oczywiście, rozwojowi życia muzycznego w naszym mieście towarzysza rosnące potrzeby lokalowe — i to w zakresie sal koncertowych, a więc w zakresie stawiającym szczególne wymagania przed inwestorem. **Filharmonia Łódzka powinna po roku 1970 doczekać się nowego gmachu.** Ale nawet i taka inwestycja nie zaspokoi braku sal koncertowych. Bo przecież Filharmonia będzie zawsze swą działalność adresowała do zaawansowanego słuchacza. A takiego trzeba przygotować, wychować i stąd potrzeba sieci sal koncertowych, do których muzyka popularna przyciągałaby słuchaczy — nazwijmy to — pierwszego stopnia przygotowania. Takie sale w naszych warunkach powstać mogą tylko w domach kultury — a ściślej — w Dzielnicowych Domach Kultury.

ODGŁOSY: Brak tak ważnych ogniw jak Dzielnicowe Domy Kultury bardzo dawały się odczuć w naszej polityce kulturalnej. Czy w pracach przedsejmikowych i w dyskusjach sesji omawiano również i ten problem?

TOW. J. SPYCHALSKI: Możemy już chyba mówić o wykrystalizowującej się koncepcji tego tak podstawowego ogniwa w masowej działalności kulturalnej. Uznaliśmy, że w naszych warunkach **Dzielnicowy Dom Kultury winien stać się obiektem zespalającym szereg inwestycji kulturalnych** takich jak kino, biblioteka, sale odczytowe, wystawowe, rozrywkowe itp. Postępująca deglomeracja budownictwa mieszkaniowego — nasze nowe osiedla otaczające coraz szerszym pierścieniem śródmieście — tworzą konkretną sytuację, z analizy której zrodził się taki właśnie projekt. A więc w przyszłości — i to już niezbyt odległej — centrum wielkomiejskie z wielkimi obiektami kulturalnymi, z teatrami, muzeami i filharmonią oraz dzielnice mieszkaniowe z własnym, intymnym i bardziej kameralnym ośrodkiem kulturalnym, Dzielnicowym Domem Kultury. Tam — kultura w szacie bardzo dostojnej, tu, na co dzień, niemal w domowych pantoflach.

Jest to koncepcja i inicjatywa specyficznie łódzka, nawiązująca zresztą do pewnych „familiarnych" lokalnych tradycji. Znalazła ona w resorcie pełne zrozumienie i obietnice maksymalnego poparcia. Posiada zresztą jeszcze i aspekt praktyczny: zespoły przecież różnorakie poczynania i środki z wielu źródeł: wymieńmy tylko źródła środków inwestycyjnych: budżet resortowy i miejski, dotacje związków zawodowych i organizacji politycznych i społecznych, takich jak ZMS, Liga Kobiet itp. Zwiąże także ściślej mieszkańca nowej dzielnicy z organizmem dzielnicy, zespoli grupy o różnych tradycjach i ukształtuje nowe formy współżycia społecznego.

ODGŁOSY: Jeśli już padło słowo — zespolenie — to wróćmy może jeszcze na chwilę do problemów naszych środowisk kulturalnych: czy dyskutowany często fakt ich rozdrobnienia, dezintegracji znalazł jakieś odbicie (mamy tu na myśli koncepcje przeciwdziałania) w założeniach naszej przyszłej polityki kulturalnej?

TOW. J. SPYCHALSKI: To oczywiste, iż Łódź dysponuje prężnymi ośrodkami twórczymi i naukowymi, które w naszym, tak młodym pod względem kulturalnym, mieście, w swej zasadniczej części są produktem wielkiego awansu społecznego naszego dwudziestolecia. Ich wewnętrzny rozwój postępował często szybciej, niż procesy wzajemnego międzyśrodowiskowego zespalania się całej naszej inteligencji twórczej i naukowej. Stąd pewien izolacjonizm środowisk a także ich zaściankowość i partykularyzm. Zjawiska te najwyższy czas zlikwidować, w czym walnie może pomóc łódzki kwartalnik kulturalno-społeczny „Osnowa". Na sesji zapadły decyzje, by przyjąć dla „Osnowy" formę kwartalnika, który winien stać się trybuną wypowiedzi twórców, krytyków i naukowców-społeczników. Zarazem „Osnowa" musi problematykę naszego regionu zaprezentować całemu krajowi. Więcej nawet: z naszej regionalnej problematyki „Osnowa" winna przejmować i przekazywać to, co jest istotnym wkładem do współczesnej polskiej kultury, do współczesnej myśli społecznej. To trudna i odpowiedzialna misja.

ODGŁOSY: Czekamy więc na „Osnowę", międzyśrodowiskowy kwartalnik?

TOW. J. SPYCHALSKI: Co więcej, jeśli środowiska, o których mowa, zaangażują w redagowanie „Osnowy" dostateczną ambicję — nawet i miesięcznik. Tak m. in. tę sprawę ujął na naszej sesji minister Motyka.

ODGŁOSY: Zapowiedź preferencji takiego programu działania łączy się więc ze zwiększonymi obowiązkami Łodzi jako ośrodka kulturotwórczego?

TOW. J. SPYCHALSKI: Wszystko to nakłada na nasze środowiska twórcze i naukowe — a także i na naszych działaczy kulturalnych — nowe i bardzo odpowiedzialne obowiązki. **Określiłbym to tak: trzeba nam więcej prężności, ambicji, inicjatywy.** Łódź musi częściej wychodzić na zewnątrz ze swymi osiągnięciami i sprawa bynajmniej nie zamyka się w „zdobywaniu" Warszawy. Równie ważne — a może nawet ze względów społecznych ważniejsze, jest związanie się z regionem, ostateczne przekształcenie w jego kulturalną stolicę. To nie tylko polityczny obowiązek Łodzi, to zarazem misja, bez spełnienia której nie można wyobrazić sobie choćby np. przyszłego funkcjonowania naszego Teatru Narodowego z jego widownią na 1300 miejsc. Trzeba więc szukać nowych śmiałych rozwiązań organizacyjnych, które powiążą z Łodzią masowego konsumenta kultury. Jeśli pozyskamy takiego wielomilionowego odbiorcę dóbr kulturalnych, przekształci się i charakter wielu naszych poczynań, np. repertuar teatralny będzie mógł z ilości premier akcent przesunąć na ich ambitniejszy dobór i atrakcyjniejsze przygotowanie. Szukajmy więc kontaktów z wielkimi pozałódzkimi zakładami pracy, z organizacjami masowymi okolicznych miast i miasteczek. Zresztą zasięg tego oddziaływania wyznaczają tylko nasze ambicje. Stare, lecz wciąż żywe tradycje łączą przecież Łódź i z Kaliszem, i z Częstochową, i z Radomiem. Ku Łodzi grawituje Konin — nowy ośrodek energetyczny. Pora te miasta włączyć w zasięg naszej kulturalnej penetracji.

Z tak pojętych zadań polityki kulturalnej wynika nowa, bardziej aktywna rola łódzkich środowisk naukowych w procesach kulturotwórczych naszego regionu. Można tu mówić o obustronnym oddziaływaniu. Nasz region nie ma jeszcze tak szczegółowych opracowań naukowych jak np. Poznańskie czy Ziemia Krakowska, tradycyjne warsztaty naukowców, tam właśnie zlokalizowanych uniwersytetów. Otóż nasz region i nasze miasto będą zapewne w przyszłości silniej niż dotąd inspirowały prace łódzkich środowisk badawczych.. Z kolei środowiska te dostarczą naukowo opracowanych wskazań co do potrzeb kulturalnych regionu. A więc i obopólne korzyści i naukowo uzasadnione poszukiwania nowych dróg. Tak pojmujemy współdziałanie środowisk naukowych w kształtowaniu nowych procesów kulturotwórczych i z niecierpliwością oczekujemy na służące tym celom publikacje na łamach „Osnowy".

Na zakończenie chcę podkreślić, iż szeroka i szczera dyskusja toczącą się już od miesięcy wokół łódzkich problemów kultury pomogła w wyjaśnieniu wielu kwestii i wyzwoliła wiele inicjatyw społecznych. To bardzo cenne. Wynikła z tej dyskusji ogólna linia akceptacji w stosunku do naszych planów. Dokonaliśmy więc w zakresie problematyki kulturalnej **wspólnego, społecznego i świadomego wyboru,** a łódzka delegacja na Ogólnopolski Kongres Kultury będzie miała możność zaprezentować nie tylko dorobek naszego miasta, ale i śmiałe plany perspektywiczne rozwoju Łodzi — ważnego ośrodka polskiej kultury, ośrodka w pełni zasługującego na wielkie preferencje.

ODGŁOSY: W imieniu czytelników dziękujemy za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
WACŁAW BILIŃSKI

ŁÓDŹ – WIELKI PLAC BUDOWY

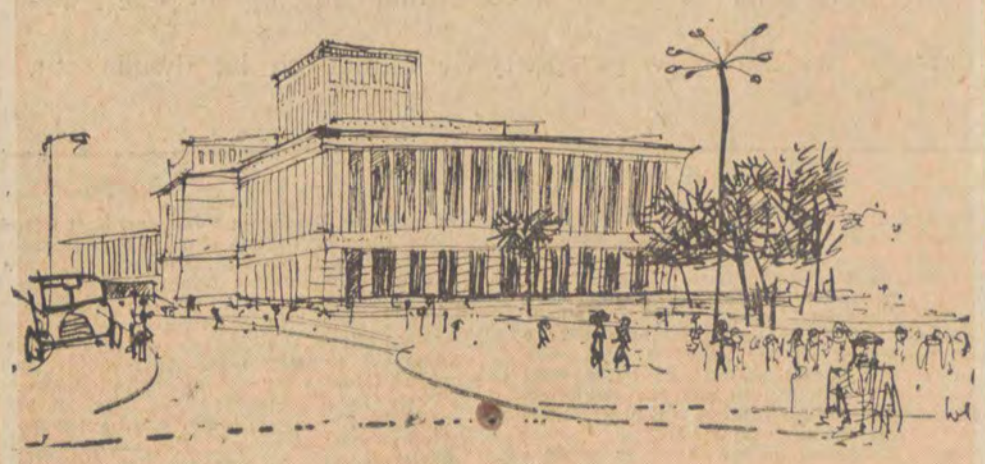

Plac teatralny

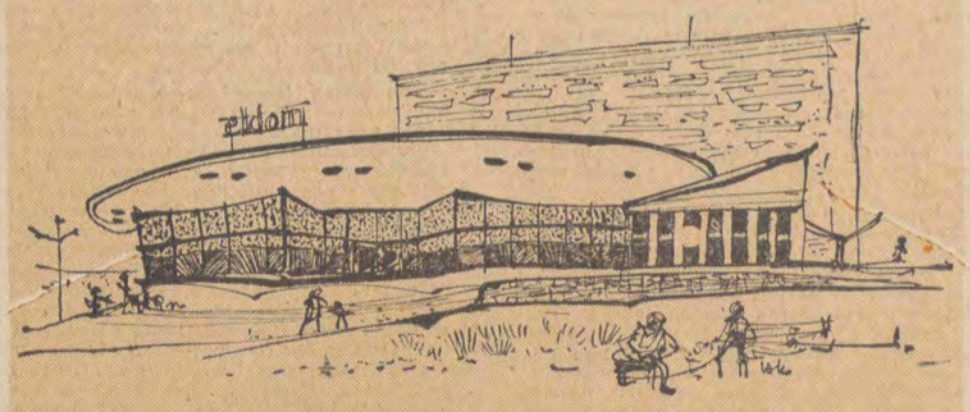

Kapelusz pana Anatola

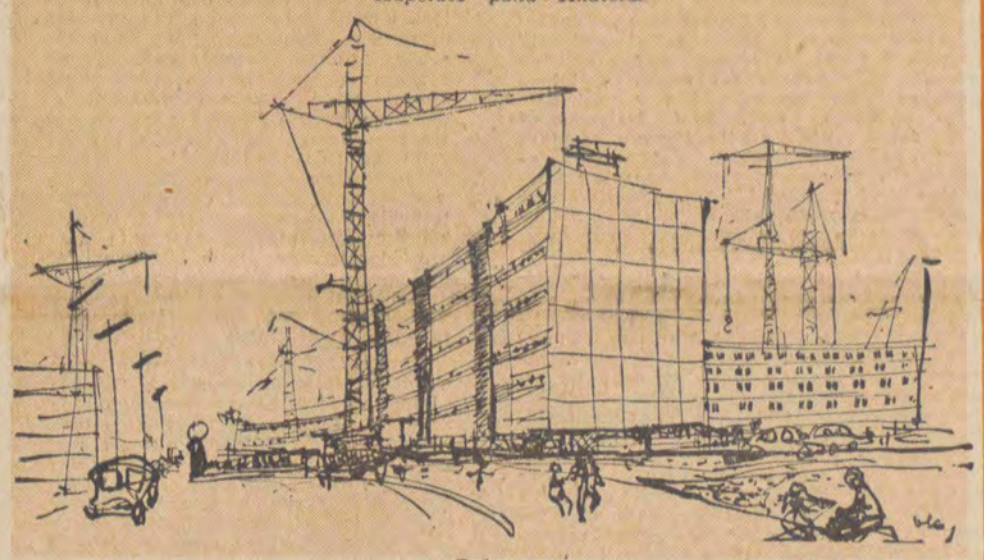

Dąbrowa — *Rys. Wacław Kondek*

---

mieszkańców sprawami osiedla. Dlatego jak grzyby po deszczu powstały tu w jednej chwili sprawnie funkcjonujące mikroorganizmy społeczne, dlatego Dąbrowa jako chyba jedyne osiedle w Polsce rokrocznie funduje sobie noworoczne choinki przed blokami za fundusze lokatorów.

Ale na pełną stabilizację będziemy jednak musieli poczekać. Nie tylko do czasu likwidacji budowlanego rozgardiaszu. Dla prawidłowego funkcjonowania osiedla niezbędne są tutaj inwestycje kulturalne. Wtedy samowystarczalność osiedla będzie rzeczywiście pełna. Wtedy urodzone tutaj dzieci na pytanie dzieci z innych miast, gdzie mieszkają, odpowiedzą na pewno: w Dąbrowie.

— W Dąbrowie? A gdzież to jest?

— Wiadomo, w najpiękniejszym miejscu Łodzi.

K. FREJDLICH

Dzielnica punktowców

Jak się idzie aleją Politechniki, albo wyrusza z placu Niepodległości ulicą Pabianicką — jest wrażenie, że miasto zostaje za nami. Na arteriach tych — owszem — stają domy gdzieniegdzie nawet potężne gmaszyska — Pałac Sportowy, akademiki i obiekty przemysłowe — ale złudzenie masz takie, jakby zaraz miało się to wszystko skończyć na pustych łąkach i piaszczystych polach.

Odwrócimy teraz sytuację. Idzie sobie Pabianicką zagraniczny turysta — Węgier, Czechosłowak lub Rumun. Niedawno jeszcze był na zatłoczonej Piotrkowskiej, obecnie widzi szeroką ulicę, zabudowaną — wprawdzie — niewielkimi i najpiękniejszymi domkami, ale ruchliwą, pełną samochodów i tramwajów. Turysta jest bywały, Łodzi nie zna, ale ma wyczucie wielkich miast, był już w Pradze, Berlinie, Budapeszcie — toteż myśli prawidłowo i logicznie. „Zaraz tutaj zacznie się nowa dzielnica, bo ta Pabianicka, to tylko łącznik". Jeszcze parę kroków, rozległe Ron do Titowa, i... jest!

Od horyzontu po horyzont kompleksy wysokich domów w zieleni, w tle wolnym od kominów i dymów. Po lewej stronie Kurak, na prawo — Nowe Rokicie.

Turysta nie dziwi się wcale. „Ot, takie sobie" — myśli. Widział podobne dzielnice w wielu miastach świata.

Zaskoczony natomiast jest łodzianin. Wierzyć mu się nie chce, że coś takiego mogło się tu znaleźć. Zdumiony przeciera oczy...

Oj, nie znamy swego miasta. Widzewa, Górnej i Bałut. I zaraz powiem Wam dlaczego. Po prostu trafiamy tam rzadko i tylko „za interesem", żeby kupić i sprzedać, kieliszek wina wypić u znajomych lub popatrzeć w telewizor. Wychodzimy, ponadto, z założenia, że Łodzi nie ma co zwiedzać, że ją widzimy na codzień od bruków po ubytki tynku w ścianie.

Nowe Rokicie. Miasto w mieście. Dzielnica w dzielnicy. Zamknięte w zaczarowanym trójkącie przez tor kolejowy, aleję Politechniki i ulicę Pabianicką. Z dala widać białe kominy elektrociepłowni i czarny dym, lecz dzielnica skryła się w zieleni, odcięta od miasta niewielką depresją terenu.

Samowystarczalna. Długie rzędy pawilonów w przyblokowych ulicach. Własne szkoły. Własne biblioteki. Żłobki, przedszkola, Dom Dziecka, księgarnie, punkty usługowe, spółdzielnie, Międzyzakładowy Dom Kultury „Energetyk", plac zabaw i potężna połać parku. I wyliczyć wszystkiego niepodobna — jak to zawsze w dużym nowoczesnym mieście. Ale jeszcze własny mikroklimat. Własna flora i fauna (to, moi drodzy, jest dzielnica pekińczyków). Stare i młode osobniki płci obojga w ilości niezliczonej, baraszkują na każdym placu, placyku, skwerku i trawniku. Miłe te pieski bez uprzedzeń rasowych, zalecają się odważnie do czarnych rodzimych burków, które jednak, stanowią tam zdecydowaną mniejszość) i architektura...

Nowe Rokicie nie jest monotonne. Nie jest szablonowe. Współpraca architektów z plastykami (element nieodzowny przy projektowaniu nowych dzielnic, jeśli nie przypominać mają koszar) dała tu świetne rezultaty. Ciekawy koloryt, dobre skontrastowanie wielkości i kształtów poszczególnych bloków, przeplatanie się niskich jed-

Dalszy ciąg na str. 4

Dorobek łódzkich ośrodków naukowych i artystycznych po wojnie przedstawia się wręcz imponująco, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę na co dzień. Aby choć w części unaocznić ogrom prac i wysiłku, dajemy poniżej przegląd tego dorobku, widzianego w perspektywie minionych lat dwudziestu.

Uniwersytet Łódzki

Jeśli ktoś powie, że przed powstaniem Uniwersytetu, Ziemia Łódzka była to terra incognita, będzie miał na pewno dużą dozę racji. Znano wówczas jedynie w zarysach historię regionu — i to wszystko. Brakowało sprawdzonych badaniami faktów na temat przeszłości gospodarczej tej Ziemi, jej geografii, fauny i flory, etnografii, języka, rozwoju społecznego zbiorowości, zamieszkującej nasz region i tak dalej i dalej. Owa listę dziedzin do niedawna zapoznanych, można ciągnąć jeszcze długo.

Wypełnienie wszystkich tych luk wiedzą rzetelną i bogatą, to jedna z najważniejszych zasług łódzkiej Almae Matris. Jedna, lecz bynajmniej nie jedyna. Zważmy na tysiące absolwentów Uniwersytetu, którzy wniknąwszy w społeczeństwo Łodzi i regionu, stali się najbardziej aktywną grupą w młodym pokoleniu inteligencji. To właśnie Uniwersytetowi zawdzięczamy znamienne przeobrażenia, jakie dokonały się w umysłowości nie tylko wychowanków uczelni, lecz pośrednio również w sposobie myślenia każdego niemal z mieszkańców regionu.

Potwierdzeniem dorobku kadry naukowej Uniwersytetu są liczne nagrody. Pierwszą z nich — nagrodę państwową — uzyskał jeszcze w roku 1953 prof. dr Jan Dylik, który od wielu lat kieruje Instytutem Geografii UŁ. Dokładnie 10 lat później prof. Dylik otrzymał również nagrodę naukową m. Łodzi. Pośród pracowników naukowych uczelni, był on siódmym z kolei laureatem tej nagrody.

Listę dwunastu dotychczasowych laureatów nagród m. Łodzi i województwa łódzkiego otwiera nazwisko archeologa — prof. dr Konrada Jażdżewskiego. Dorobek naszych archeologów jest jedną z najlepiej znanych szerokiej publiczności dziedzin badań naukowych, gdyż prasa szeroko informuje o ich odkryciach. Następne 2 nagrody przypadły również przedstawicielom nauk humanistycznych — prof. dr Stefanii Skwarczyńskiej (teoria literatury) i prof. dr Janowi Szczepańskiemu (socjologia). Równocześnie zaczęła się „dobra passa" dla przedstawicieli nauk biologicznych. Do grona laureatów nagrody m. Łodzi weszli z tych dyscyplin profesorowie: Leszek Pawłowski, Bernard Zabłocki i Antoni Dmochowski. Za nadzwyczaj interesujące prace badawcze z zakresu demografii, nagrodę tę otrzymał prof. dr Edward Rosset, zaś za dorobek w dziedzinie prawa administracyjnego — prof. Józef Litwin, należący, wraz z prof. Skwarczyńską, do zespołu współzałożycieli pierwszej wyższej uczelni w Łodzi — Wolnej Wszechnicy Polskiej, która rozpoczynała działalność z końcem lat dwudziestych.

Szczególne zasługi w badaniach regionu przyniosły nagrody naukowe woj. łódzkiego profesorom: St. Zajączkowskiemu, K. Zawistowicz-Adamskiej i J. Mowszowiczowi. Ponadto w dorobku pracowników nauki UŁ znajduje się przeszło 40 nagród ministra szkół wyższych.

Nagrody są poważnym wyróżnieniem, ale równocześnie — w odniesieniu do całego środowiska pracowników nauki — skromną tylko rekompensatą i usatysfakcjonowaniem za trud, dzięki któremu znikły białe plamy na mapie naukowej regionu i pomnożył się dorobek nauki polskiej.

J. B.

Politechnika

Miasto ma swój niebłahy udział w rozbudowie uczelni, uczelnia zaś — w rozwoju miasta. Te dwie wielkości — Łódź i Politechnika — warunkują się nawzajem. Ich istnienie, aktualna ich siła i moc rozwojowa, są współzależne.

Politechnika Łódzka w ciągu swych 21 lat istnienia rozrosła się w potężną uczelnię akademicką, w której murach raz po raz dochodzi do ważkich odkryć, którą co roku opuszczają setki fachowców, zasilających naszą gospodarkę.

Istnieją różne kryteria, jakimi mierzyć można dorobek wyższej uczelni, ale jedną z miar najdokładniejszych i najbardziej wymownych zarazem, są nagrody naukowe, przypadające najwybitniejszym przedstawicielom tego „kombinatu wiedzy".

Tradycja nagród państwowych za prace z dziedziny nauki i postępu technicznego, datuje się na Politechnice od 1953 roku. Nie żyjący już dzisiaj znakomity uczony, prof. Stanisław Kiełbasiński, otrzymał wówczas wraz z zespołem nagrodę III stopnia za opracowanie i wprowadzenie do produkcji gumy mikroporowatej, która obecnie, po latach trzynastu, stała się surowcem powszechnie stosowanym w wielu dziedzinach gospodarki. Z tego samego, 1953 roku, datuje się nagroda II stopnia dla prof. dr B. Konorskiego za prace z zakresu elektrotechniki teoretycznej. Nie sposób byłoby zliczyć, jak wiele z twórczych myśli profesora znalazło dotychczas wcielenie praktyczne, ale mnogość tych wcieleń nie ulega kwestii.

Laureatami nagród z dziedziny postępu technicznego są w PŁ profesorowie: Jan Werner, Jerzy Werner, Stanisław Zagrodzki i doc. Roman Dowgird. Dwaj pierwsi z tego grona — niedawno zmarły prof. Jan Werner i prof. Jerzy Werner, obecny rektor Politechniki — położyli wybitne zasługi dla powstającego od podstaw w Polsce Ludowej przemysłu budowy samochodów.

Największe wyróżnienia zdobyli dotychczas: zmarły w ostatnich miesiącach prof. dr Władysław Bratkowski i prof. mgr inż. Eugeniusz Jezierski. Są oni laureatami nagrody państwowej i równocześnie — nagrody naukowej m. Łodzi. Prof. Bratkowski pozostawił wiele twórczych prac z dziedziny włókiennictwa, z tej więc dziedziny, która najściślej związana jest z gospodarczym obliczem Łodzi. Prof. Jezierski od wielu lat kieruje Katedrą Maszyn Elektrycznych i Transformatorów. Jest on autorem wielu opracowań teoretycznych i konstrukcyjnych, należał do współtwórców „Elty", która sama sobą stanowi symbol unowocześniania się łódzkiego przemysłu.

Grono laureatów nagrody naukowej m. Łodzi w Politechnice Łódzkiej liczy 7 osób. Poza wspomnianymi powyżej, w skład grona tego wchodzą również profesorowie: Alicja Dorabialska, Witold Korewa, Paweł Prindisz, Mieczysław Serwiński oraz zmarły przed dwoma laty prof. dr Atanazy Boryniec, którego nazwisko często gościło na łamach prasy w związku z jego pionierskimi rozwiązaniami, znajdującymi zastosowanie w przemyśle włókien sztucznych.

Dodajmy, iż dotychczas ponad 30 pracowników nauki PŁ zdobyło nagrody ministra szkolnictwa wyższego, przyznawane za osiągnięcia naukowe, dydaktyczne oraz za autorstwo najlepszych podręczników.

W tym świetle jeszcze pełniejszego wyrazu nabiera nasze wstępne stwierdzenie o wzajemnej współzależności rozwoju miasta i jego uczelni.

J. B.

Literatura

Dzieje łódzkiego środowiska literackiego w powojennym dwudziestoleciu są bogate, zmienne i burzliwe.

Wczoraj, tzn. zaraz po wojnie, kiedy Łódź pełniła rolę stolicy kraju, tutaj inicjowano dyskusje literackie na temat współczesnego modelu kultury, ważne dla całej oświeconej społeczności polskiej, „Kuźnica", skupiająca intelektualistów-marksistów pod wodzą hetmana Żółkiewskiego (Stefana), wodziła rej w tych sporach, jej też zawdzięczamy szereg cennych „kampanii", między innymi walkę o nowy wygląd literatury społecznie zaangażowanej. W Domu Literatów przy ulicy Bandurskiego 8 (dziś Mickiewicza), wrzało jak w ulu. Mieszkali tu wówczas Brzechwa i Jastrun, Kott i Rudnicki (Adolf), Nałkowska i Gojawiczyńska, K. Brandys i Ważyk, Sandauer i Truchanowski, Broniewski i Dygat. Tutaj napisali oni wiele książek, a „Pałeczka" Rudnickiego jest świadectwem ówczesnej atmosfery intelektualnej i swoistego klimatu literackiego. W Łodzi napisał K. Brandys część cyklu „Między wojnami", Nałkowska — „Węzły życia", Sandauer — „Śmierć liberała", P. Hertz — „Sedan", Szmaglewska — „Dymy nad Birkenau". Cokolwiek by nie powiedzieć, są to książki, które się liczą, a ich powstanie wiąże się z Łodzią, która jedni nazywają „miastem niekochanym", inni zaś — wspominają z wdzięcznością. Adolf Rudnicki wyzna po latach, że „dobrze mi się tu pisało", a Leon Schiller doda, że „łódzkie lata to moje najszczęśliwsze lata". Potem nastąpił exodus do Warszawy. Łódź ucichła i opustoszała. Można by rzec, że życie literackie (i nie tylko) zaczęło się tworzyć od nowa.

Dziś mamy liczne grono pisarzy wszystkich pokoleń. Mamy wśród nich prozaików i poetów, tłumaczy i eseistów, satyryków i dramaturgów. Są rodowici łodzianie i tacy, którzy przybyli tu z innych miast, osiedlili się i pozostali. Łódź literacka zregenerowała swoje siły. Jeśli by wartość i ważkość środowiska literackiego mierzyć ilością przyznanych nagród dla pisarzy, okazałoby się, że naszym twórcom przypadły w udziale wszelkie możliwe wyróżnienia. Stanisław Czernik jest laureatem nagrody państwowej za powieść „Ręka" (1963), nagrodami literackimi m. Łodzi obdzielono Mariana Piechala, Władysława Rymkiewicza, Leona Gomolickiego, Jana Koprowskiego, nagrodami wojewódzkimi — Grzegorza Timofiejewa, Zbigniewa Nienackiego, Tadeusza Papiera. Na wielu konkursach ogólnopolskich pisarze łódzcy zdobywają cenne nagrody, żeby, dla przykładu, wspomnieć Wiesława Jażdżyńskiego, którego „Polonez świętokrzyski", odznaczony pierwszą nagrodą, ukazał się obecnie w „Bibliotece Powszechnej" w wydaniu masowym. Ważne nagrody konkursowe przyznano powieściom Wandy Karczewskiej (która jest także laureatką nagrody literackiej m. Poznania), Tadeusza Chróścielewskiego, Romana Łobody. Środowisko literackie „dochrapało się" wydawnictwa książkowego, którego znaczenia nie można nie doceniać, tygodnik „Odgłosy" poświęca niemało miejsca prozie i poezji, w ostatnich dniach zdefiniowała się (nareszcie!) sprawa „Osnowy", która będzie się ukazywać w formie kwartalnika.

A jutro? O dniu jutrzejszym zadecyduje młodzież literacka. Sądzę, że Łódź posiada utalentowanych pisarzy młodego i najmłodszego pokolenia. Niektórzy z nich dali się już poznać czytelnikom prasy ogólnopolskiej, a ich pierwsze książki potwierdziły upatrywane w nich nadzieje. Są wśród nich laureaci licznych konkursów (M. Szargan, K. Frejdlich, R. Gorzelski, M. Wawrzkiewicz, K. Świegocki). Klub młodych przy ZLP w Łodzi grupuje autentycznych poetów jak Skibiński, Królikowski, Biskupski, Jarmołowski i Halina Sobczak. Sądzę, że do optymizmu uprawniają każdego z nas rzeczywiste osiągnięcia literackie. A tymi osiągnięciami są książki pisarzy, których to książek z roku na rok przybywa. Zwiększa się nie tylko ich ilość, podnosi się także ich jakość. Stąd mój optymizm.

J. Wł

Medycyna

Naukowa myśl medyczna Łodzi znajdowała wielokrotnie inspirację w specyfice miasta i jego potrzebach zdrowotnych. Prof. dr Emil Paluch stworzył podstawy do zorganizowania przemysłowej służby zdrowia w Łodzi. Instytut Medycyny Pracy — jest jego dziełem. Instytut służy tysiącom robotników. Rozpoznając choroby zawodowe i tworząc naukowe metody profilaktyki pełni naczelną rolę w ochronie zdrowia setek tysięcy pracowników łódzkiego przemysłu.

Prof. St. Popowskiemu zawdzięcza łódzka pediatria opracowanie fizjopatologii biegunek dziecięcych, skuteczną walkę z gruźlicą i reumatyzmem u dzieci. Prof. dr Redlich dał dziecięcej praktyce lekarskiej naukowy oręż walki z chorobami zakaźnymi. Kontynuatorzy ich pracy z satysfakcją odnotowują niemal całkowitą likwidację dyfterytu, szkarlatyny i innych chorób zakaźnych.

Prof. dr W. J. Grott dał m. in. lecznictwu metody wczesnego rozpoznawania i leczenia cukrzycy — choroby uznanej za społeczną. Prof. dr J. Moll i jego zespół wkroczył do czołówki torakochirurgów nowoczesnymi operacjami serca przy użyciu aparatu sztucznego krążenia.

Prof. dr J. Sobański opracował metody leczenia zeza, jaskry i odkrył w zmianach ciśnienia w naczyniach krwionośnych gałki ocznej objawy chorób innych organów, wzbogacając wiedzę diagnostyki. Na jego prace powołuje się okulistyka światowa.

Laryngologia łódzka rozbudowała bronchoskopię — usuwanie obcych ciał z dróg oddechowych, otolaryngologia stosuje mokrochirurgię ucha w likwidowaniu poważnych wad wrodzonych upośledzających słuch. Badaniami audiometrycznymi sprawdza m. in. zdolność słuchową robotników w różnych zawodach, określając ich dyspozycje do wykonywanej pracy.

Psychiatria ma poważne sukcesy w określaniu przyczyn różnych chorób psychicznych, nerwic i psychonerwic i w zapobieganiu im oraz zasługi w podjęciu bardzo ważnego społecznie zagadnienia — rehabilitacji psychicznie chorych.

Ginekologia legitymuje się sukcesami w zwalczaniu choroby hemolitycznej (konflikty Rh), wczesnym wykrywaniu stanów przedrakowych, zorganizowaniem ginekologii dziecięcej itp.

Endokrynologia uzyskała pierwszą w kraju klinikę rozszerzając swe możliwości badawcze i terapeutyczne.

Kardiologia kliniczna wprowadziła nowe metody zachowawczego leczenia chorób serca i wyodrębniła placówkę leczenia chorób krwi. Katedra i zakład anatomii patologicznej zajmuje się nowymi zagadnieniami tak że społecznie ważnymi — wyjaśnieniem patogenezy nowotworów, szuka dokładnego określenia złośliwości komórek oraz bada patomorfologię miażdżycy, budząc nadzieje na odkrycie metod zapobiegania starzenia się organizmu.

Łódzki ośrodek nauk medycznych to nie tylko AM, lecz także Wojskowa Akademia Medyczna, która obok specyficznych obowiązków uczelni wojskowej podjęła w ciągu 7 lat swej działalności zadania badawczo-terapeutyczne na rzecz powszechnego użytku. Rewelacyjna pierwsza w kraju operacja prof. J. Pruszyńskiego — wszczepienie sztucznej zastawki do serca, ogromna praca prof. A. Himmla i zespołu — ocena zdrowia robotników przemysłu chemicznego bawełnianego w Łodzi pod kątem schorzeń przewodu pokarmowego, patronat wielu klinik nad placówkami lecznictwa otwartego i świadczenie usług dla miasta, stały patronat WAM nad ludnością powiatu bełchatowskiego — to wyrywkowe przykłady powiązania uczelni z problematyką zdrowotną miasta i okręgu.

Nie sposób wyliczyć wszystkich zdobyczy łódzkiej wiedzy medycznej i istotę trudnych do popularnego ujęcia prac naukowo-badawczych. Faktem jest, że ośrodek łódzki zdobył wysoką rangę w kraju i za granicą wzbogacając wiedzę medyczną o nowe, trwałe wartości.

Z. T.

Muzyka

Wszelkie okolicznościowe podsumowania kryją to niebezpieczeństwo, że głównym ich argumentem są cyfry, obrazujące omawiane osiągnięcia i sukcesy. Cyfry zaś mają to do siebie, że choć bardzo konkretne i przekonywujące, nie oddają jednak ani klimatu, ani atmosfery towarzyszącej dopracowywaniu się tych sukcesów. Nie pokazują zapału i pracy ludzi, od których właściwie wszystko zależy.

W dziedzinie muzyki zaś, bardziej może jeszcze niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie sztuki, ten zapał i entuzjazm odgrywały i odgrywają szczególnie ważną rolę. Mamy trwałe pomniki tego entuzjazmu, a jednym z nich jest Opera Łódzka (nie jako gmach oczywiście, lecz jako placówka). Zwykło się o niej mawiać, że powstała „z niczego", ale opinia ta dotyczy przede wszystkim zaplecza materialnego. Bo ludzie byli. Rekrutowali się przede wszystkim z ab-

Dalszy ciąg ze str. 3

nopiętrowych budynków z trzynastopiętrowymi punktowcami — stwarza to odpowiednią atmosferę, wolną od sztampy i szarzyzny. Dodatkowym urozmaiceniem Nowego Rokicia będzie już w najbliższym czasie ośrodek wodny (obecnie w budowie), położony w sąsiedztwie czterech okazałych punktowców.

A więc własny basen kąpielowy. Szczyt komfortu.

Cudze chwalicie, swego nie znając — mówi mądre porzekadło.

Mam projekt. Pójdźcie kiedyś w tamte strony bez określonego celu. Z głową wolną od przyziemnych myśli. Doznacie olśnienia. I pamiętajcie jeszcze o tym, że zaraz obok Nowych Rokicin tuż za Rondem Titowa, zaczyna się nowa, równie piękna dzielnica — Kurak. Też z pewnością go nie znacie!

A. MAKOWIECKI

Kariera ulicy Wielkopolskiej

Przy końcu ulicy Starej, która nagle urywa się w polu, wypływa spod ziemi rzeka Bałutka. Spod ziemi? Tak, gdyż jej nurty zamknięto w betonowe kręgi zakopane w ziemi. Dalsze koryto rzeki szerokim łukiem biegnie ku kolejowym torom. Z drugiej strony ku tym torom zmierza ulica Limanowskiego.

Na tym terenie stało parę biednych chałup, przeważnie drewnianych z nieprawdopodobnie wysokimi dachami, pokrytymi łataną papą. Tu i ówdzie przebiegała ulica, a raczej polna droga. Między tym wszystkim rosło zboże i drzewa owocowe. Jak na wsi. Wzdłuż toru, w wykopach, kisła stale brudna woda, wypierana zwolna przez zsypywane śmiecie.

Tak tu było dawniej, to znaczy 2—3 lata temu. Z tego krajobrazu nic prawie już nie zostało. Na całym terenie wyrosły długimi szeregami kolorowe, bogato oszklone bloki. Wątła uliczka zwana Wielkopolską, rośnie nagle do rangi dwukierunkowej arterii biegnącej od nowego wiaduktu przy ul. Limanowskiego w kierunku bielejącego w dali, pnącego się coraz wyżej Żubardzia. Ale nie tylko na tym polega kariera uliczki — od niej wzięło nazwę całe osiedle.

Mowa właśnie o „Osiedlu Wielkopolska". Wyrosło ono tak nagle i cicho, że dziś jeszcze wielu łodzian, którzy zabłądzą w te strony staje w osłupieniu: skąd tu tyle bloków? A będzie ich już czterdziestka. Miejsca wyrastania dalszych poznać można z daleka — wyznaczają je uwijające się pracowicie dźwigi. Na nowym osiedlu jest już szkoła, są pawilony sklepowe i usługowe, biblioteka i inne budynki.

Dzielnicowi urbaniści pokazują mi wielkie, gęsto zarysowane „topografie" — co rusz umykają do przyszłości. To co się buduje — powiadają — to pierwsza część osiedla „Wielkopolska", część „A". Zamieszka w niej bez mała 12 tys. ludzi. Część „B" wielkości podobnej, usytuowana będzie za rzeką Bałutką w kierunku Żubardzia Kozin. Cały ten teren zmieni zupełnie swój wygląd. To co jest zrobione dotąd, to dopiero początek.

Wpatruję się więc w plany. Wzdłuż torów widnieje szeroki pas zieleni. Pokryje on wszystkie wykopy i śmietniska, będzie izolował osiedle od torowisk. Uwagę moją przykuwa jednak co innego. W miejscu gdzie ul. Wielkopolska dobiega do torów widnieją różne prostokąty i napis: dworzec. Tak, już w przyszłym roku zaczną się prace przy jego budowie. Obok będą piękne podjazdy i place postojowe. Pod torami wydrążony zostanie tunel, który połączy perony i umożliwi przejście na ulice Plantową. Wraz z widniejącym obok pięknym wia-

solwentów i studentów Wyższej Szkoły Muzycznej. Jej mury opuściło wielu znakomitych śpiewaków (łódzka WSM nosi w świecie muzycznym opinię „wylęgarni słowików"), znanych dziś nie tylko w kraju, ale i za granicą, wielu instrumentalistów, którzy mimo ciągłych tournee zagranicznych i wielu zajęć znajdują przynajmniej raz w roku czas, by wystąpić przed łódzką publicznością. Jak np. Wanda Wiłkomirska, czy Władysław Kędra, który po 7-letniej profesurze w wiedeńskiej Akademii Muzycznej powrócił na stałe do Łodzi.

Tak więc dzięki artystycznemu zapleczu i wielkiemu jego entuzjazmowi dla sztuki, mogła powstać w Łodzi opera, której zasługi w popularyzacji sztuki operowej pomnożone są o trudności, wynikające z 12-letniego braku własnej sceny. Absolwenci Wyższej Szkoły Muzycznej, a także Średniej i Liceum Muzycznego zasilają stale zespoły Opery i Operetki.

Zasilają również orkiestrę Filharmonii Łódzkiej. Tradycje tej placówki sięgają wprawdzie początków naszego stulecia, ale do okresu powojennego miała ona charakter raczej elitarny. Dopiero po wojnie, w okresie minionego 20-lecia stała się przybytkiem sztuki dostępnym dla wszystkich, prowadzącym systematyczną działalność koncertową, a gościnne występy słynnych artystów krajowych i zagranicznych są tu niemal powszednim chlebem.

Popularyzują muzykę zawodowe instytucje, robi to uparcie i konsekwentnie Łódzkie Towarzystwo Muzyczne — żywe i aktywne, niestrudzone w wynajdywaniu coraz to nowych form upowszechnienia (festiwale, koncerty, cykle różnego rodzaju) i docierania z nimi do najodleglejszych krańców miasta. Nie zapominając przy tym o wprowadzaniu na estradę młodych łódzkich talentów wykonawczych, dając możliwości wykonywania utworów kompozytorów łódzkich. ŁTM było też głównym inicjatorem I Festiwalu Twórczości Kompozytorów Łódzkich, który dał niewielkiemu, ale prężnemu środowisku łódzkich kompozytorów, legitymujących się sporym dorobkiem twórczym, możność pierwszych konfrontacji najnowszych utworów z odbiorcami.

Można by tu oczywiście, wyliczać imponujące liczby obrazujące ilość bywalców Filharmonii, Opery, koncertów, liczbę młodzieży kształcącej się w pięciu łódzkich szkołach muzycznych wszystkich stopni. Byłyby to na pewno liczby imponujące. Nie w tym jednak rzecz. Rzecz w tym, że w ciągu minionych lat Łódź stała się poważnym cenionym ośrodkiem życia muzycznego, które „liczy się" w opinii krajowej.

T. W.

Plastyka

Była Łódź w latach trzydziestych ośrodkiem — jeśli mowa o plastyce — najbardziej w Polsce awangardowym. Działalność grupy „ar" — Strzemińskiego, Kobro, Hillera promieniowała na inne skupiska twórcze w kraju i za granicą. Ścisłe kontakty z Bauhausem i z redagowanym w Paryżu przez Jana Brzękowskiego dwujęzycznym pismem „L'Art Contemporain" „Sztuka Współczesna" rozszerzały horyzonty, tworzyły wspólny front „nowej sztuki". Wydawane w tym czasie w Łodzi czasopismo „Forma" drukowało często na swoich łamach wypowiedzi teoretyków awangardy europejskiej — Grohiusa, Arpa i innych. Wspólne działanie doprowadziło do utworzenia jedynej w Polsce Kolekcji Sztuki Nowoczesnej przy Muzeum im. Bartoszewiczów. Gwoli prawdy zaznaczyć należy, że poczynania artystów z grupy „ar" przyjmowane były z większym zaufaniem przez ośrodki zagraniczne niż rodzime, w którym prym wiedli ciągle wyznawcy postimpresionistycznego koloryzmu.

Ponownego renesansu doświadczyła Łódź w pierwszych latach po wojnie. Z obozów, z emigracji, z wojska zjeżdżają się artyści szukając tu chwilowego azylu. Wielu z nich opuści wkrótce Łódź dla Warszawy, ale wielu zostanie, tworząc w tym mieście żywotny ośrodek twórczy. Patrząc wstecz, z perspektywy dwudziestolecia na poczynania łódzkiego środowiska plastycznego, na poczynania niejednokrotnie z sobą sprzeczne i niekonsekwentne, stwierdzić należy obiektywnie jego wyjątkową prężność, aktywną działalność artystyczną uwieńczoną zresztą licznymi sukcesami w kraju i za granicą a także dużą aktywność w kierunku jak najszerzej pojętego upowszechnienia kultury plastycznej. W Łodzi mieszkało i mieszka do dziś wielu zasłużonych i powszechnie uznanych twórców i pedagogów. Strzemiński, Kobro, Wegner, Mackiewicz, Nowosielski, Jaeschke, Tyszkiewiczowa — nazwiska mówią same za siebie. Wielu z nich uczestniczyło czynnie w kształtowaniu oblicza nowej sztuki polskiej.

Pod koniec 1956 r. do głosu dochodzą w całej zresztą polskiej plastyce nowe tendencje. Zdzisław Głowacki prezentuje jako jeden z pierwszych w kraju kompozycje tachistowskie. Droga dla malarstwa bezprzedmiotowego stoi otworem. Szeregi abstrakcjonistów powiększają się z dnia na dzień. Łódzkie środowisko reprezentuje wszystkie tendencje tego kierunku. Jednocześnie zaczyna się krystalizować coś, co otrzymało z czasem nazwę „szkoła łódzka" (czy słusznie — kwestia dyskusji). Wpływy Buffeta i sztuki meksykańskiej, teorie Rogera Garaudy o nowym realizmie, wpływy Nowosielskiego wreszcie, sprawiły, że pewna grupa artystów zwróciła się w kierunku malarstwa figuratywnego, stosując świadomą prymitywizację i stylizację formy.

Mówiąc o łódzkiej plastyce nie można pominąć działalności Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Jej zasługi są bezsporne. Skupiając grono doskonałych i oddanych pedagogów wykształciła kadrę artystów, którzy tkaninie łódzkiej nadali rangę dzieła sztuki i sprawili, że Łódź może dziś śmiało konkurować z takimi ośrodkami jak Warszawa czy Poznań. Zresztą i w tej dziedzinie liczne nagrody krajowe i zagraniczne (np. Biennale Gobelinu w Lozannie) mówią same za siebie.

Sporządzając bilans dwudziestolecia — siła rzeczy bardzo sumaryczny i niepełny — raz jeszcze należy podkreślić prężność środowiska łódzkiego. Uczestnictwo w imprezach tego typu co Biennale w Wenecji, w Sao Paulo, w Paryżu, w Rostocku dowodnie świadczy o randze artystycznej dzieł twórców łódzkich. Także działalność zmierzająca do jak najszerszego upowszechnienia kultury plastycznej, działalność konsekwentna i prowadzona od lat, świadczy o zrozumieniu przez łódzkich twórców roli, jaką ma do spełnienia sztuka w naszym społeczeństwie. Oczywiście, że środowisko łódzkie przeżywało jasne i ciemne momenty. Jedne inicjatywy wieńczone były sukcesem inne paliły na panewce. Niedostateczna ilość salonów wystawowych, powiększenie się kadry użytkowników kosztem poważnego uszczuplenia grona artystów tworzących, ciągle nierozwiązana do końca sprawa kontaktów z zakładami przemysłowymi (jedynie współpraca z Zarządem Głównym Związku Włókniarzy przynosi oczywiste rezultaty) — wszystko to nie sprzyjało ostatnimi czasy rozwojowi łódzkiej plastyki. Ale z kolei pewne zjawiska (projekt budowy pawilonu wystawowego, projekt Funduszu Rozwoju Plastyki) pozwalają rokować jak najlepsze nadzieje na przyszłość. I należy ich życzyć całym sercem, bowiem Łódź jak żadne chyba miasto spragniona jest sztuki, spragniona piękna.

A. G.

Teatr

Starzy bywalcy teatralni lubią sobie czasem powzdychać: to były czasy!... Rzeczywiście, były to czasy wyjątkowe i niepowtarzalne, kiedy to Łódź skupiła czołówkę polskich aktorów, reżyserów, najznakomitszych ludzi teatru. Mowa oczywiście o pierwszym okresie powojennym, gdy życie teatralne zainaugurował Teatr Wojska Polskiego z Władysławem Krasnowieckim — „Weselem" Wyspiańskiego w reżyserii Jacka Woszczerowicza. Potem teatr ten przejął — wraz z drugą sceną — Teatrem Powszechnym — Leon Schiller — niepowtarzalne zjawisko w teatrze polskim. „Krakowiacy i Górale" Bogusławskiego, „Celestyna" de Rojasa, „Igraszki z diabłem" Drdy, „Kram z piosenkami" — widowiska znakomite w świetnej obsadzie i reżyserii.

Warszawa dominowała na łódzkich scenach, ale warszawski okres się skończył, po paru latach większość zespołów wyjechała do stolicy. Rozpoczął się nowy okres teatralny, mniej może błyskotliwy, ale bardzo interesujący, bardziej łódzki. Na scenę Teatru Kameralnego, który w całości „repatriował" się do Warszawy, wkroczył młody zespół wychowanków łódzkiej Szkoły Teatralnej — zespół Teatru Nowego, który już pierwszym swym przedstawieniem „Brygadą Szlifierza Karhana" Kani zrobił furorę i wkrótce zdobył Order Sztandaru Pracy II klasy. Rozpoczął się okres świetności tego teatru, teatru zaangażowanego, walczącego, odkrywczego, teatru Kazimierza Dejmka, teatru gry zespołowej, z którego wyrośli świetni aktorzy-soliści. „Łaźnia" Majakowskiego, „Noc listopadowa" Wyspiańskiego, „Święto Winkelrida" Andrzejewskiego i Zagórskiego, „Ciemności kryją ziemię" Andrzejewskiego, „Żywot Józefa" Reja, „Historia o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" Mikołaja z Wilkowiecka, repertuar klasyczny, komedie współczesne. Po odejściu Dejmka, teatr kierowany przez Wojciecha Pilarskiego, a następnie Janusza Kłosińskiego stracił tyle, ile musi stracić każdy teatr po odejściu wybitnej indywidualności. Pozostał mu jednak ambitny zespół, ambitne kierownictwo i — kredyt zaufania publiczności.

Po odejściu Leona Schillera z Łodzi Teatr Wojska Polskiego przyjmuje nazwę Teatru im. Jaracza i po kilku kolejnych zmianach kierownictwo artystyczne przejmuje Feliks Żukowski. Teatr stał się teatrem zaangażowanym. „Strach i nędza III Rzeszy" i „Kariera Artura Ui" Brechta, „Trzecia Patetyczna" Pogodina, „Ostatnia stacja" Remarque'a, „Kolumbowie" Bratnego — to konsekwentna linia, którą prowadzi obok repertuaru klasycznego, lżejszego, rozrywkowego.

Teatr Powszechny, który od początku w założeniach starał się uzasadnić swą nazwę, wystawiając pozycje popularne, atrakcyjne, dopiero za kierownictwa artystycznego Romana Sykały nabrał większej ostrości i drapieżności. Utrzymując zasadę popularności i atrakcyjności, przechylił się w kierunku repertuaru bardziej zaangażowanego, sporo uwagi poświęcił też problematyce młodzieżowej, społeczno-wychowawczej. „Błękitny patrol" Halla, „Przygoda z Vaterlandem" Kruczkowskiego, „Zamach" Shawa, „Fizycy" Duerrenmatta, „Kataki" Wincelberga — oto przykładowe tytuły cenniejszych pozycji tego teatru.

Najmłodsza łódzka scena dramatyczna — Teatr Ziemi Łódzkiej — mało jest znana w mieście. Ten jeden z trzech objazdowych w kraju, po latach „płynności kadr" i nierównego ich poziomu, pod kierownictwem artystycznym Czesława Staszewskiego umocnił się, ustabilizował. Repertuar tego teatru jest określany potrzebami widza, któremu służy, widza nie wyrobionego, świeżego. Musi to być więc repertuar komunikatywny i atrakcyjny. „Ożenek" Gogola i „Balladyna" Słowackiego, „Damy i huzary" Fredry i „Ostry dyżur" Lutowskiego, „Głupi Jakub" Rittnera i „Konrad Wallenrod" Mickiewicza.

O najmłodszej widowni nie zapominają teatry dramatyczne — Jaracza i Powszechny, uzupełniając w tym względzie działalność dwóch teatrów lalkowych — „Arlekina" — zabawiającego głównie dzieci łódzkie i „Pinokia" — przeznaczonego przede wszystkim dla dzieci naszego województwa.

T.W.

Architektura

W roku 1962 w ogólnopolskim konkursie, na zaprojektowanie ośrodka usługowego w Gdańsku pierwszą nagrodę wziął zespół łódzki. Nazwiska architektów inż. inż. B. Kardaszewskiego, L. Mackiewicza, T. Sumienia, J. Wyżniewicza zaczynają się coraz częściej przewijać w sprawozdaniach z rozstrzygnięć ogólnopolskich konkursów. Niedługo potem inż. inż. Wyżynkiewicz i Sadowski wzięli pierwszą nagrodę w konkursie na opracowanie dużego fragmentu Dąbrowy Górniczej. Potem znów wielki ogólnopolski konkurs na hotel w Łodzi. Wśród nagrodzonych nazwiska L. Łukosia, J. Michalewicz, W. Marszała... Potem konkurs na centrum Łodzi, Krakowa, Wrocławia, na rozwiązania urbanistyczne miast w Polsce. I znów łódzcy architekci zaznaczają swoją obecność wśród nagrodzonych i wyróżnionych. Nazwiska inż. inż. Wujka, Zwierko, Balda, Kurmanowiczów, Jakubczaka stają się znane nie tylko w Łodzi, ale — podobnie jak wyżej wymienieni — zaczynają się liczyć na krajowej giełdzie.

Można dziś powiedzieć, że nie było poważnego (ogólnopolskiego konkursu w którym nie braliby udziału łódzcy architekci. Jak dotąd po licznych konsultacjach doliczyłem się prawie trzydziestu konkursów, w których łodzianie zanotowali sukcesy. Oczywiście nie sposób wymienić wszystkie nazwiska. Zbyt duża to liczba. Jedno jest wszakże pewne i warte podkreślenia. Dziesięć lat temu było w Łodzi... 50 architektów, którzy jako środowisko nie stanowili żadnej siły. Dziś jest ich ponad 200 i w skali krajowej coraz bardziej nabierają znaczenia jako interesujące środowisko twórcze.

Łódzkie środowisko może mówić o swoich sukcesach nie tylko w kontekście wielkich konkursów i ładnych obiektów. Łódzki SARP prowadzi też tę małą, niewidoczną na pozór działalność w rodzaju konsultacji — jak zagospodarować teren wokół bloku, jak urządzić ogródek jordanowski — w tych sprawach udzielono dziesiątki porad przeprowadzono wiele konsultacji. Mała i drobna działalność pomogła w efekcie w upiększaniu, sensownym, fachowym — nowych dzielnic i osiedli.

Wreszcie dyskusje. Powie ktoś, że to nie istotne. Nieprawda. Dzięki tym fachowym dyskusjom, gospodarskim rozwiązaniom problemów budownictwa — nieustannie zmienia się oblicze starej zabudowy Łodzi. Te dyskusje i ich realne rezultaty także zaznaczają obecność w naszym mieście prężnego środowiska architektów. Prowadzi się szerokie rozmowy z użytkownikami. Wiele interesujących propozycji i uwag wysłuchują architekci na tradycyjnych już spotkaniach z łódzkimi kobietami.

Te i inne sprawy — problemy koncepcji urbanistycznych w naszym mieście, nowe rozwiązania i nowe propozycje — oto zespół zagadnień jakimi żyje środowisko, od którego w dużej mierze zależy fakt, że Łódź będzie coraz piękniejsza, że ranga pracujących tu architektów i ich „cena" na krajowym rynku będzie nieustannie rosnąć.

J. W.

Film

Film to nie tylko przeżycie emocjonalne i estetyczne widzów przed srebrnym ekranem. To także potężny, będący na jego usługach przemysł i handel, określone środki, metody i instytucje rozpowszechniania i reklamy. To również ludzie tworzący go, których nazwiska czytamy w czołówkach oraz instytucje zajmujące się przygotowaniem tych kadr. To wreszcie młoda, rozwijająca się po drugiej wojnie światowej nauka o filmie, czyli filmologia oraz publicystyka filmowa.

Właściwością twórczości prawdziwie artystycznej, sztuki przez duże „S" jest to, że staje się ona dobrem ogólnonarodowym. To też mówi się np. o polskiej szkole filmowej w kinematografii, nie bacząc wcale, gdzie narodziły się należne doń dzieła. Jeśli więc chcemy podsumować dorobek filmowy określonego rejonu, słuszniej jest mówić o kinematografii w ogóle, traktując film (zjawisko estetyczne) jako jedną z jej dziedzin, w powiązaniu z innymi dziedzinami.

Powojenna kinematografia łódzka liczy sobie już 21 lat. Imponujący jest jej dorobek. 30 kwietnia ubiegłego roku obchodzono w naszym mieście jubileusz: dwudziestolecie Wytwórni Filmów Fabularnych. Przez owe 20 lat wyprodukowano w niej 154 filmy. WFF posiada obecnie 5 hal zdjęciowych (z tego 3 duże). Jak bogate jest jej wyposażenie w sprzęt, niech zobrazuje fakt, że zgromadzone w jej magazynach reflektory i żarówki byłyby w stanie oświetlić całe niewielkie miasto. Przytłaczająca większość polskiej produkcji filmowej w fabule wychodzi właśnie z łódzkiej wytwórni. Oprócz niej działa jeszcze Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu. Możliwości produkcyjne tej ostatniej są jednak znacznie mniejsze. Ale przecież film nie kończy się na fabule.

Od 1946 roku działa w Łodzi Wytwórnia Filmów Oświatowych, początkowo jako Instytut Filmowy. Chociaż dorobek jej jest siłą rzeczy mniej efektowny, zasługi posiada również niemałe — przede wszystkim w dziedzinie popularyzacji, rozpowszechniania wiedzy w ogóle, a dorobku kultury, sztuki w szczególności. Niemało chwały przyniosło także Łodzi Studio Małych Form Filmowych „SE-MA-FOR" (dawniej Wytwórnia Filmów Lalkowych).

Jednakże instytucją związaną z filmem, która zdobyła sobie rozgłos światowy, jest dopiero Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa im. L. Schillera. Powstała już w 1947 roku jako Wyższe Studium Filmowe, a w dwa lata później uzyskała prawa akademickie. Pierwszym jej rektorem był prof. dr Marian Wimmer, a jego następcą — prof. dr Jerzy Toeplitz. W murach tej uczelni kształcili się między innymi Wajda, Munk, Konwicki czy z najmłodszych — Skolimowski. Uznana za jedną z najlepszych (przez niektórych nawet za najlepszą) szkół tego typu w świecie, ściąga studentów różnych narodowości ze wszystkich kontynentów.

Piękny jest także dorobek filmologiczny Łodzi. Szerzeniem wiedzy o filmie zajmuje się oprócz Szkoły Filmowej jedyny — jak dotąd w Polsce uniwersytecki Zakład Wiedzy o Filmie przy łódzkiej polonistyce. Z Łodzią związane są między innymi dwa znane w filmologii nazwiska: Jerzego Toeplitza — światowej miary historyka filmu i Bolesława Lewickiego — wybitnego teoretyka, obu — będących zarazem działaczami zasłużonymi wielce dla rozwoju kultury filmowej w Polsce. Można by mówić i o innych — nie ma na to, niestety, miejsca.

Powyższe podsumowanie, pobieżny — z konieczności — przegląd faktów, świadczy najlepiej, iż zdania, że Łódź jest filmową stolicą Polski, nie można uznać tylko za frazes. Zarówno historia, jak i stan obecny przekonują nas, że jest czego gratulować po tych dwudziestu z górą latach łódzkiej kinematografii. I życzyć jej dalszego rozwoju — we wszystkich dziedzinach oraz wielu sukcesów w sztuce filmowej i nauce o niej.

E.S.

---

duktem, który powstał tu głównie dzięki wielkiej „Elcie", zbudowanej za torami, spowoduje całkowitą zmianę krajobrazu.

Obok nowego osiedla z drugiej strony ul. Limanowskiego, przy ulicy Zbąszyńskiej, wre już praca przy budowie ogromnej imponującej. Jej kryptonim brzmi „EC-III". Tu właśnie powstaje nowa, trzecia w Łodzi i jednocześnie największa elektrociepłownia. Kiedy wzbić się nad Łódź samolotem, najpierw w oczy rzuca się EC-II, potężne bryły jej obiektów, buchające parą wieże chłodnicze. W przyszłości zapewne oczy przykuwać będzie przede wszystkim EC-III. Większa od tamtej. Już za dwa lata popłynie ul. Zbąszyńską ciepła woda do nowych osiedli, para dla fabryk i prąd elektryczny na potrzeby miasta oraz kraju. W tym roku jeszcze wyrosną nowe kominy tego obiektu.

Obok, w rejonie ul. Brukowej i Pojezierskiej, rozlokowały się wielkie magazyny, składy i bazy. Tu głównym gospodarzem jest Zarząd Inwestycji Miejskich, tworzący dzielnice magazynowo-przemysłowe, dzielnice osobne, oddzielone od osiedli ludzkich. W tym rejonie powstała jedna z nich. Wyrastają tu zresztą nadal nowe obiekty, wypierając stare chałupki. I tu krajobraz się zmienia nie do poznania. Tyle że bez rozgłosu, jaki towarzyszy zwykle budowie nowych osiedli mieszkaniowych.

Z. STRZĘPEK

Gdzie pasły się kozy

Przychodzą w mokry tynk ścian, w miasto, które się otwiera na zachód i wschód nowymi płaszczyznami kolorowych elewacji. Przychodzą w pole — tak jest, w pole, któremu myśl urbanisty kazała być osiedlem. Przychodzą z innych dzielnic i miast. — Nie znają tego skrawka ziemi, gdzie kozy pasły się tak niedawno...

Przychodzą po gospodarsku oceniając linie bloków, mierzą odległość od gładkiego asfaltu Aleksandrowskiej i mówią:

— Trzeba było bloki stawiać bliżej ulicy.

Nie wiedzą, że puste pole, które teraz przemierzać będą codziennie idąc do przystanku „dwudziestki piątki" było miejskim zsypiskiem śmieci, że pod tą ubitą ziemią drzemią wieloletnie pokłady niestrawionej przez miasto miazgi, że — nawet byle chałupka stanąć tu nie może...

Osiedle im. Władysława Reymonta. Miasto czci w ten spóźniony sposób imię pisarza, który w łódzki krwiobieg wprowadził biblijne pojęcie ziemi obiecanej. Osiedle im. Reymonta? Gdzie to jest?

Zaraz odpowiem: na Teofilowie. Ach tak — wzruszacie ramionami — trzeba było od razu... Dajmy więc spokój pisarzowi, niepotrzebna mu ta osiedlowa sława. Lecz tu od razu ciśnie się pod czcionkę łódzki dowcip. Dlaczego osiedle na Teofilowie nosi imię Reymonta? Bo Reymont napisał „Chłopów".

W zarządzie „Lokatora" zaprzeczą. „Nikły procent mieszkańców spoza Łodzi" — powiedzą. Nieważne. Reporter ani socjolog ani statystyk. Więc tylko te obserwacje niedzielne: powitania na przystanku, dumne gesty w kierunku betonowego masywu wiaduku.

— Widzisz tato, tu zaraz jest Kaliski, a tu „Elta".

Lecz dajmy po raz wtóry spokój Reymontowi. Osiedle Teofilów A — niespełna trzyletnie dziecko „Lokatora" niedługo powie B, za parę lat nauczy się trzeciej litery alfabetu. A za każdą literą ponad 17-tysięczna rzesza mieszkańców. Ponad 50 tysięcy! — całe Pabianice. Wyrosłe na jałowym polu, po którym zawsze hulał wiatr. Kępka jeżyn rosła z lewa od Traktorowej — chyba tam właśnie zbudowano ten jedyny dla obecnych ośmiu tysięcy mieszkańców pawilon handlowy.

Będzie ich więcej, w przyszłym roku urodzą się jeszcze dwa — niech im się dobrze handluje na podmiejskiej ziemi rodzącej kiedyś zakurzony, cierpki owoc. Lecz ta ziemia już przecież nie podmiejska. Centrum przyszło do osiedla Kozinami, Żubardziem i Wielkopolską — tylko kamieniem rzucić, w „25" wsiąść...

Ale nie spieszmy się. Stańmy za willą lekarza, który się oparł roz-

Dalszy ciąg na str. 6

Eks-łodzianie

Redakcja „Odgłosów" zwróciła się do znanych uczonych, pisarzy i artystów, którzy kiedyś mieszkali w Łodzi, z prośbą o udzielenie odpowiedzi na następujące pytania:

1. Przez kilkanaście lat po wojnie mieszkał Pan i pracował w Łodzi. Jak dziś z pewnego już oddalenia wspomina Pan i ocenia ten okres?

2. Nauka, kultura i sztuka polska osiągnęły w ostatnim czasie znaczny stopień zainteresowania i uznania za granicą. Jak Pan widzi dalsze perspektywy rozwoju tej dziedziny kultury, którą Pan reprezentuje?

W jednym z poprzednich numerów drukowaliśmy wypowiedzi B. Drozdowskiego, J. Nowosielskiego i T. Paciorkiewicza. Obecnie publikujemy dalsze odpowiedzi na naszą ankietę.

TADEUSZ KOTARBIŃSKI

1. Entuzjazm, poryw konstruktorski — to były inspiracje, którymi się żyło w Łodzi zaraz po wojnie, kiedy to Łódź ocalała pod względem budowlanym, zastępowała w znacznym stopniu Warszawę zrujnowaną, a niezależnie od tej funkcji brała się do organizacji własnej intelektualistycznej nadbudowy nad robociarską zadomowioną bazą włókiennicza. „Wznosicie na ugorze uniwersytet" — mówili profesorowie z Krakowa, gdy się tam jeździło pod deszczem w otwartej ciężarówce werbować kandydatów do katedr. „Adamczewskiego do polonistyki, Kielskiego do francuszczyzny...") — „Szczęść Wam Boże, ale perspektywy nie wyglądają różowo... bo dobrym wskaźnikiem unaukowienia środowiska jest liczba w danym mieście członków Polskiej Akademii Umiejętności. A jak się przedstawiają te cyfry? W Poznaniu zamieszkuje 11 takich uczonych, w Łodzi — jeden tylko jedyny". A i ten, bodajże Kolankowski, historyk epoki Jagiellońskiej, wkrótce czmychnął do Torunia. No i wspaniały, aldziwaczny Ułaszyn, polonista, tkwił w Łodzi u schyłku swych sił, też powołany do PAU (tylko powołania nie przyjął). Toteż łączyło się gorliwość z umiarem w ambicjach. Niech by powstało coś dostatecznego, nie koniecznie uczelnia o bardzo wysokich wziotach. I taki na początek powstał rezultat. Wyróżniała się zra-

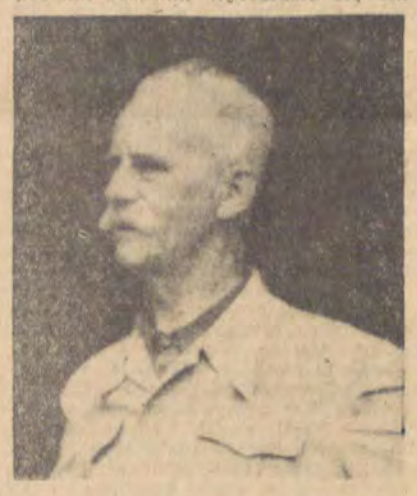

zu głównie medycyna, wówczas jeszcze przy uniwersytecie, organizowana przez Szymanowskiego, oparta o pracę wytrawnych klinicystów, jak Tomaszewicz, Jakubowski i inni. Później Uniwersytet Łódzki pięknie się rozwinął: przykładem chociażby geografia, fizjografia, archeologia, socjologia, lingwistyka.

Wielkie były trudności w należytym postawieniu humanistyki, szeroko rozumianej. Jak zachować jej charakter istotnie naukowy, broniąc się z jednej strony przed wstecznictwem którego nie brak było w światopoglądzie starszych sił profesorskich, a z drugiej strony opędzając się od nagabywań, grożących zamianą nauczania uniwersyteckiego w funkcję propagandy. Co raz trudniej było o drogę złotego środka pośród naukowców, gdyż narastały złe czasy... Aż wreszcie, gdy sytuacja wyjaśniła się negatywnie jesienią 1949 roku, nie mogłem przyjąć kontynuacji rektoratu.

Ale z Uniwersytetem Łódzkim czuję się uczuciowo związanym i doktorat honorowy tej uczelni jest mi szczególnie drogi. To samo pragnę powtórzyć w odniesieniu do Łódzkiego Towarzystwa Naukowego i członkostwa honorowego tego zrzeszenia, któremu zawdzięczam wydanie głównej pracy mego życia, mianowicie Traktatu o dobrej robocie. A miasto Łódź wspominam tak, jak się wspomina kogoś, od kogo się doznało wiele życzliwej pomocy i opieki w trudnych chwilach życia.

2. Logika rozumiana jako przedmiot ogólnokształcący (moja wieloletnia specjalność dydaktyczna) /skutkiem zawstydzającego niedoceniania jej doniosłości traci w kraju pozycję, którą zajmowała, z wielką dla sprawności głów inteligenckich szkodą. Logika matematyczna natomiast, rozkwita nadal jako dyscyplina wyspecjalizowana i elitarna, przechodząc coraz bardziej z rąk filozofów do rąk matematyków. Prestiż polskiej logiki matematycznej za granicą jest nadal wysoki, ceniony jest zwłaszcza spośród pozostałych w kraju profesor Mostowski i jego szkoła. W ostatnich latach zająłem się głównie stułym naczelnym przedmiotem mych zainteresowań, prakseologią, czyli teorią dobrej roboty. Jakie są jej perspektywy u nas i w szerokim świecie? U nas sytuacja wytworzyła się paradoksalna. Hasło dobrej roboty uznane jest powszechnie jako nasza bodajże naczelna gospodarcza dyrektywa, natomiast teoria dobrej roboty z wielkim trudem musi sobie wywalczać miejsce pracy badawczej i dydaktycznej. Sądzę jednak, że stanowi pionierską zasługę Polskiej Akademii Nauk, iż jako pierwsza w świecie utworzyła pracownię, tej dyscyplinie specjalnie poświęconą. A poza granicami Polski? Wszak Francuzi przed nami parokrotnie się upominali o rozbudowę prakseologii i teraz znowu powtarzają swe apele... Jestem głęboko przeświadczony, że przyszedł czas na nią i że zacznie ona rozkwitać i gdzieindziej.

JAN SZCZEPAŃSKI

1. Mieszkałem w Łodzi przez 18 lat, ale ciągle jeszcze w Łodzi pracuję. Jestem ciągle profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, a obowiązki kierownika Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym przy Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego sprawuję w ramach obowiązków profesora tegoż Uniwersytetu. Mogę więc powiedzieć, że część moich obowiązków w Warszawie sprawuję w charakterze ekspozytury Uniwersytetu Łódzkiego.

Jak wspominam okres, kiedy mieszkałem w Łodzi? Był to podstawowy okres mojego życia, okres, kiedy osiągnąłem stanowisko w życiu naukowym, zorganizowałem warsztat badań, wszedłem do praktyki życia społecznego jako radny miejski i poseł na Sejm, jako przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego TWP. Jestem więc z Łodzią związany i emocjonalnie i instytucjonalnie. Tu przeżyłem okres formatywny nowego ustroju i zebrałem podstawowe doświadczenia, rozpocząłem badania nad przemianami społeczeństwa polskiego, rozpocząłem prace nad serią monografii o klasie robotniczej i inteligencji, której ukazało się dotychczas 21 tomów. Cokolwiek się zdarzy, jestem więc i pozostanę łodzianinem.

2. Socjologia polska osiągnęła poważny stopień rozwoju. Ma ona także znaczne uznanie za granicą i to zarówno w krajach socjalistycznych jak i na zachodzie. Przed kilku dniami zakończyło się wspólne seminarium socjologów radzieckich i polskich w Warszawie, podsumowujących prowadzone wspólne badania, obecnie trwa seminarium metodologiczne zorganizowane przy udziale UNESCO dla socjologów ośmiu krajów socjalistycznych, niedawno na zaproszenie socjologów norweskich liczna grupa naszych socjologów odwiedziła ten kraj i wzięła udział w sympozjum naukowym *). Jesteśmy tym krajem socjalistycznym, w którym badania socjologiczne są już szeroko rozwinięte i dla innych krajów socjalistycznych jesteśmy wzorem i przykładem. Ruch socjologiczny obecnie bardzo silnie się rozwijający w ZSRR i innych krajach socjalistycznych rozwijał się pod naszym wpływem. Na Zachodzie z uwagą obserwują rozwój socjologii w Polsce jako miejsce spotkania marksizmu z teoriami współczesnej socjologii zachodniej. Co roku kilkudziesięciu pracowników nauki z krajów zachodnich odwiedza Polskę. Nakłada to na naszą socjologię dużą odpowiedzialność i zobowiązania, z których jak dotychczas, wywiązujemy się nieźle. Fakt, że do katedr socjologicznych w Łodzi ubiegają się o staże naukowe kandydaci z Norwegii i Czechosłowacji, też o czymś świadczy.

*) Pisane w końcu czerwca br.

JÓZEF PAWŁOWSKI

1. W Łodzi urodziłem się, kształciłem i zacząłem pracować w bardzo młodym wieku, już przed wojną. Byłem tutaj nauczycielem muzyki

w szkołach średnich i Szkole Muzycznej, prowadziłem audycje muzyczne dla młodzieży szkolnej, dyrygowałem chórem „Harfa", wydawałem swoje drobne kompozycje i opracowania pieśni w Państwowej Drukarni w Łodzi, a potem w Poznaniu. Stąd wyjeżdżałem kilkakrotnie do Konserwatorium Paryskiego w celu uzupełnienia wiedzy muzycznej.

Po okresie powojennym spędzonym w Łodzi pozostało we mnie obok wielu wspomnień bardzo miłych niestety także wiele przykrych. Te ostatnie rozgrzeszają mnie częściowo z czynionego sobie często wyrzutu: czemu opuściłeś rodzinne miasto?

Od powrotu do Łodzi (początek roku 1945) aż do dnia uzyskania pracy i osiedlenia się na stałe w Warszawie (rok 1963) byłem kolejno (czasem równocześnie) dyrygentem Choru Międzyszkolnego, kierownikiem artystycznym i dyrygentem Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej przez cały czas jej istnienia, kierownikiem Działu Muzycznego w Wydziale Kultury MRN, redaktorem odpowiedzialnym w Redakcji Audycji Muzycznych Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, nauczycielem w Państwowym Liceum Muzycznym, a potem zastępcą profesora w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. Doceniam zaufanie władz, powierzających mi te wszystkie bardzo odpowiedzialne stanowiska. W tym też czasie napisałem muzykę do 22 sztuk teatralnych i filmowych oraz dwutomowy podręcznik Instrumentacji. Szczególnie miłe wspominam cenną dla mnie współpracę z dyr. F. Żukowskim przy pisaniu muzyki do III Patetycznej — A. Pogodina (Teatr im. Jaracza), dyr. H. Rylem w czasie przygotowywania pierwszej mojej muzyki do sztuki lalkowej „Pod zielonym jaworem" (Teatr „Arlekin"), dyr. M. Janic i W. Byrską przy komponowaniu muzyki do wielu sztuk lalkowych wystawianych w Teatrze „Pinokio". To wspomnienia najmilsze.

Do przeżyć bardzo przykrych, z których wciąż nie mogą się otrząsnąć zaliczam rozwiązanie prowadzonej przeze mnie Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej. Orkiestra ta po prawie czteroletniej działalności miała na swoim koncie ponad 700 audycji dla młodzieży szkolnej, koncertów dla robotników m. Łodzi i województwa łódzkiego. W programie — oprócz koncertów fortepianowych i skrzypcowych, symfonii, uwertur i utworów popularnych — znajdowały się takie pozycje jak estradowe wykonania „Halki" i „Strasznego dworu". Z Orkiestrą współpracowali znakomici artyści: Wł. Kędra, M. Wiłkomirska, Zb. Szymonowicz i inni. Cóż z tego, że echa likwidacji tej tak potrzebnej miastu placówki odzywały się — i wciąż jeszcze się odzywają — na różnych zebraniach? Łatwiej niszczyć niż budować.

2. Moją specjalnością jest instrumentacja, to jest nauka rozdzielania składników utworu muzycznego pomiędzy poszczególne głosy zespołu instrumentalnego. W tej dziedzinie wiele się ostatnio zmienia. Zaczyna zwyciężać przekonanie, że opanowanie tej dyscypliny polega nie tylko na zinstrumentowaniu określonej liczby utworów, lecz przede wszystkim na poznaniu różnego rodzaju procesów i nowych technik instrumentacyjnych oraz zdobyciu umiejętności posługiwania się nimi. Na założeniach tych oparty jest mój podręcznik instrumentacji. Szczególnie cieszę się z tego, że te nowe idee powoli zwyciężają w instrumentacji na orkiestrę dętą, która była dotychczas dziedziną bardzo zaniedbaną. Naszym wkładem była tutaj Aria i II fuga z III Symfonii K. Sikorskiego, zinstrumentowana na wielką orkiestrę dętą wg nowych zasad i wykonana na publicznym koncercie podczas Święta Prasy i Książki w Berlinie w roku 1964 przez cztery reprezentacyjne orkiestry wojskowe: ZSRR, CSRS, NRD i PRL, pod dyrekcją A. Rezlera. Utwór został przyjęty bardzo gorąco, były jednak później na temat jego wyboru dyskusje w gronie kierowników orkiestr. Na Święcie Prasy w Berlinie, w roku bieżącym. Reprezentacyjna Orkiestra Wojska Polskiego poszła dalej, prezentując utwór jeszcze śmielszy: Etiudę — H. Czyża. Dyskusji już nie było, gdyż niektóre orkiestry poszły w doborze utworów i środków instrumentacyjnych po naszej linii, a jeden z dyrygentów radzieckich wręcz poprosił o przesłanie naszego podręcznika instrumentacji. Cieszy to — choć nie znaczy wcale, że my wszystko umiemy. Jednak wymiana myśli, prezentowanie (i uznawanie) osiągnięć stwarza szerokie perspektywy rozwojowe. Cieszę się z mojego skromnego wkładu w tej dziedzinie. Możliwości tego rodzaju oddziaływania dała mi jednak — Warszawa.

JERZY ANTCZAK

1. Z olbrzymim wzruszeniem, bo Łódź, to przede wszystkim początek mojej przygody. Zaczęło się od tego, że w 1949 r. zdałem egzamin na wydział aktorski. Od razu wyjaśniam, nie chciałem zostać aktorem, od początku nosiłem się z zamiarem reżyserowania, ale najpierw chciałem poznać rzemiosło, którym chciałem się w przyszłości posługiwać. W 1953 roku „wkroczyłem na deski sceniczne" u p. J. Chojnackiej w Teatrze Powszechnym i szybko doszedłem do

wniosku, że zawód aktora jest „strasznie trudny" i że z dwojga złego lepiej jest wymagać od kogoś niż od siebie. Więc zacząłem reżyserować w „Pstrągu". Ten okres wspominam szczególnie ciepło. Był to bowiem teatr entuzjazmu, teatr gdzie obalało się prawa grawitacji i pracowało bez żadnych hamulców. Współpracując ze wspaniałym kolektywem, ludzi można było dużo nauczyć się. Jednocześnie byłem asystentem w Szkole Teatralnej, skąd jednak wycofałem się, gdy przyszła możliwość pracy w prawdziwym teatrze. Zostałem kierownikiem artystycznym Teatru 7.15. Pracowałem tam rok czasu i wdzięczny jestem okolicznościom, które pozwoliły mi odejść. Zresztą teraz zaczęła się najważniejsza część mojej przygody — narodziny telewizji. I cieszę się ogromnie, że mogłem w tych narodzinach uczestniczyć. To były wspaniałe dni, wspaniałe przede wszystkim ze względu na ludzi i na klimat, w którym przyszło mi pracować.

Było sporo powodów, dla których opuściłem Łódź, jeden z najważniejszych, to praca żony w teatrze warszawskim, a prowadzenie dwóch domów było niemożliwe. Zresztą ja nie uznaję terminu „prowincja" i uważam, że jeśli są tacy, którzy posiadają kompleks prowincji, powinni się go jak najszybciej pozbyć. Sam pochodzę z tzw. prowincji, ale z tego jestem dumny i uważam, że jeśli się coś robi, to trzeba robić dobrze wszędzie, niezależnie od tego czy to będzie Łódź, Warszawa czy mała wieś. A łódzki okres mojego życia wspominam bardzo często. Łódź, to miasto, w którym zdobyłem reżyserskie ostrogi i zostawiłem kawałek siebie.

2. Trzeba zacząć od tego, że telewizja w Polsce stała się własnością społeczną. Każdy obywatel kupując telewizor i płacąc 40 złotych miesięcznie czuje się potencjalnym właścicielem telewizji i uważa, że powinien otrzymać towar pierwszej jakości. I słusznie. Wszyscy oczywiście znamy się na telewizji, doskonale wiemy co to jest i jaka powinna być specyfika polskiej telewizji itd. itd. Było modne kiedyś, a i teraz znów się ujawnia, narzekanie na polski film, znaczną jednak część psioczeń i utyskiwań przeszło na telewizję. A ja sądzę, że to jest niepotrzebne. Telewizja ma dopiero 10 lat, przy tej ilości programu, jaki dajemy z jakością nie jest tak źle. Wadą jest to, że brak nam programów na dobrym, średnim poziomie. Bo przecież okrzyczane pozycje zagraniczne nie zawsze są wybitnymi dziełami. To jest często zupełnie przeciętna produkcja. Możemy odnotować zainteresowanie zagranicy naszym programem, nie można pominąć osiągnięć teatru telewizji. To wszystko się liczy. Tylko, żeby nas docenili inni, najpierw musimy nauczyć się doceniać sami. Musimy się nauczyć cenić sukcesy kolegów, trzeba się przyzwyczaić, a sukces np. Hanuszkiewicza jest także moim sukcesem. Nie można nie zauważać kogoś tylko dlatego, że reprezentuje inny styl. Dawno już Słowacki powiedział o Polsce — „Byłaś i będziesz papugą narodów". Jeżeli nauczymy się poszanowania dla własnej pracy, jeśli zaczniemy doceniać to co polskie, jeśli będziemy dostrzegać sami siebie, to i inni zaczną nas dostrzegać coraz częściej.

Dalszy ciąg ze str. 5

biórkowym zapędom urbanistów i policzmy: jeden, dwa, trzy... dwadzieścia trzy. Do ostatniego bloku wprowadzają się nowi. Nowe 65 rodzin... przychodzą w tynk mokry, w miasto co się otwiera, w ŁSM, słynne Łódzkie Sekcje Mieszkaniowe, pastelowe elewacje, długie ciągi okienne, podłogi z ksylolitu.

Bo nieważne skąd przyszli — z Widzewa, Rudy, czy z daleka — teraz to ich miejsce na ziemi, ich dom, ich przystanek z którego startują rano, na którym lądują wieczorem.

Osiem tysięcy par stóp depcze codziennie ubite pole, pod którym skrzypi współczesne dyluwium — miazga dawnego śmietniska.

J. WILMAŃSKI

Koniec świata i wygwizdów

Do pierwszego bloku na Kozinach — postawionego między ulicami Lorenza i Długosza — pierwsi lokatorzy wprowadzili się we wrześniu 1956 roku. A więc już za kilka tygodni przyjdzie im obchodzić jubileusz dziesięciolecia.

Wtedy jeszcze nie rozpoczęto budowy nowych osiedli na Dąbrowie, Żubardziu, Kuraku, Teofilowie.

Wielu lokatorów pierwszego bloku w pierwszym osiedlu łódzkim, bez większego entuzjazmu przyjęło wtedy wiadomość o przydzieleniu im nowego mieszkania na Kozinach: „Toż to koniec świata i wygwizdów" — powiadali.

Tak, wtedy jeszcze Koziny były wygwizdowem. Te Koziny, z których do centrum miasta jedzie się tramwajem piętnaście minut. Wtedy jeszcze nikt poważnie nie myślał, że za dziesięć lat będzie można mieszkać — bez poczucia krzywdy i wygnania — na Teofilowie czy na Kuraku, że Łódź wyjdzie z takim rozmachem poza ciasne perspektywy Wólczańskiej, Wysokiej, Przędzalnianej, Jaracza...

* * *

Sama nazwa nie ma takiej urody, co na przykład „Chojny", „Dąbrowa", a wywodzi się po prostu z prozaicznego faktu, że na terenie tym pasiono kiedyś miejskie kozy. Kiedyś — to znaczy bardzo dawno. Pierwsza znana nam wzmianka o Kozinach pochodzi z roku 1633.

Choć Koziny dały znać o sobie bardzo wcześnie, to jednak na dobre zaludniają się dopiero pod koniec XIX wieku. Zaludniają się przez najbiedniejszych robotników, przeważnie z pobliskiej fabryki Poznańskiego, i od razu stają w rzędzie najuboższych, najgorzej wyposażonych dzielnic Łodzi. Dość powiedzieć, że jeszcze do dziś wiele tamtejszych ulic nie ma kanalizacji.

* * *

W roku 1966 na Kozinach mieszka około 13 tysięcy ludzi, z tego około 10 tysięcy w nowych blokach. Do roku 1970 budowa zachodniej części osiedla ma być wykończona całkowicie, a w kilka lat później nowe Koziny powiększą się o część wschodnią — tę, która położona jest bliżej cmentarza — i będą liczyć ogółem blisko 25 tysięcy mieszkańców. Będzie to więc osiedle wielkości sporego miasta powiatowego.

W roku 1966 mieszkańcy pierwszych bloków na Kozinach zapomnieli już, że przyprowadzili się tu „na wygwizdów", „na koniec świata". Osiedle jest dzisiaj przyzwoicie uporządkowane, zagospodarowane, wzbogaciło się o kompletny niemal zestaw sklepów i ośrodków usługowych, uzyskało nowe połączenia komunikacyjne z centrum i innymi dzielnicami Łodzi...

T. ŻAKOWIECKI

Uwaga nadchodzi

Ujmując rzecz ściśle powinno się to nazywać: Uwaga! Wkrótce otwiera swoje podwoje! Oczywiście teatr przy pl. Dąbrowskiego, siedziba łódzkiej opery. Pierwszy spektakl w nowym gmachu będzie na pewno świętem łódzkiej publiczności. Przewidując, że każdy inaczej przeżywa tego rodzaju święta, zwróciliśmy się do twórców i działaczy kultury w naszym mieście z prośbą o krótką wypowiedź na temat wizji najbliższej przyszłości teatralnej Łodzi. Publikujemy te głosy na jednej kolumnie w przeświadczeniu, że zainteresują wszystkich mieszkańców naszego miasta i regionu, którzy nierzadko odnajdą tu elementy swoich własnych, nigdzie nie wypowiadanych opinii na ten temat. Jeśli zaś, Drogi Czytelniku, nie zastanawiałeś się jeszcze nad zjawiskiem nazwanym przez nas przekornie: „Uwaga, nadchodzi", tym uważniej przeczytaj wszystkie wypowiedzi. będą dla Ciebie osnową bardzo aktualnych refleksji.

REDAKCJA

RYSZARD STEFAŃCZYK

Kierownik Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi

Wokół budynku teatralnego przy pl. Dąbrowskiego zupełnie niepotrzebnie nawarstwiło się wiele mitów funkcjonujących do tej pory wbrew faktom rzeczywistym. W niektórych środowiskach traktuje się tę nową inwestycję, nawiasem mówiąc najwspanialszą inwestycję kulturalną w dziejach Łodzi, jako swoisty straszak, który pochłonie większość środków przeznaczonych na rozwój wszystkich dziedzin kultury w mieście. Rozumować tak, to znaczy zupełnie nie rozumieć sytuacji, sprawy się bowiem mają zupełnie inaczej.

Łódź jest miastem teatralnym. Utrzymująca się dotychczas wysoka frekwencja uzasadnia to twierdzenie.

Obliczenia statystyczne, aczkolwiek czasem zawodne nie napawają niepokojem. Potencjalny łódzki odbiorca sztuki scenicznej mógł w roku 1964 oglądać zaledwie cztery spektakle. Taka bowiem była przepustowość łódzkich widowni teatralnych. Dlatego zwiększenie ilości foteli o około 1.300, nie powinno grozić nadmiarem miejsc na widowniach teatrów w mieście. Nałoży to zapewne na teatry nowe, dodatkowe obowiązki, zmusi do lepszego przygotowania premier, wzbogacenia repertuaru, co będzie tylko zyskiem dla życia kulturalnego Łodzi.

Ponadto nie należy zapominać o funkcjach Łodzi jako centrum kulturalnego w stosunku do całego regionu łódzkiego. Wydaje się rzeczą bezsprzeczną, że Opera Łódzka znajdzie nie tylko wdzięcznego odbiorcę wśród ludności zamieszkującej strefę pozostającą w zasięgu komunikacji podmiejskiej, ale także i dalszych rejonów województwa łódzkiego

Mówiąc o korzyściach należy zwrócić uwagę, że otwarcie nowego teatru to uruchomienie nowych 700 etatów w pionie kultury, to większy procentowo udział budżetu kultury w budżecie miasta, to miejsca pracy dla absolwentów szkół muzycznych w mieście, to wreszcie wzmocnienie środowisk twórczych nowymi kadrami ambitnych artystów.

Do spraw związanych z otwarciem Opery w nowym budynku odniosły się w zasadzie życzliwie zarówno Ministerstwo Kultury, Komisja Planowania przy Radzie Ministrów, jak i Ministerstwo Finansów Odpowiednie wysiłki kierownictwa władz miasta spowodowały, że uzyskaliśmy nie tylko fundusze na eksploatację nowej inwestycji, ale nawet zwiększenie środków na działalność i w innych dziedzinach kultury. Wysokość dotacji na prowadzenie Opery pozwoli nam na ustalenie przystępnych cen biletów, co ma kolosalne znaczenie dla zdobycia nowego widza.

Sądzę, że Opera potrafi wykorzystać stworzone jej warunki i nie sprawi nikomu zawodu. Zaś tym wszystkim, którzy rzekomo przeciw stawiając się nastrojom samozadowolenia widzą w czarnych barwach przyszłość Łodzi teatralnej można odpowiedzieć — Teatr Wielki jest godnym pomnikiem Tysiąclecia Państwa Polskiego, żywym dokumentem awansu kulturalnego Łodzi w okresie powojennym, jest wreszcie oddaniem sprawiedliwości dziejowej potrzebom kulturalnym robotniczego miasta.

STANISŁAW PIOTROWSKI

Dyrektor Teatru Wielkiego

Termin rozpoczęcia naszej działalności jest rzeczywiście bliski, gdyż przewidujemy pierwsze spotkanie z publicznością na przełomie roku 1966/1967. Ale warunkiem sine qua non jego dotrzymania jest pełne oddanie budynku teatru do eksploatacji przez wykonawcę. Nawiasem mówiąc przedsiębiorstwo budowlane będzie musiało przekazać nam gmach na 3 miesiące przed pierwszym spektaklem, gdyż skomplikowana maszyneria wymaga takiego okresu próbnej eksploatacji. Trzeba zauważyć, że prawie wszystkie urządzenia techniczne naszego teatru są prototypami skonstruowanymi przez polskich inżynierów. Dzień premiery będzie więc egzaminem i dla nas i dla nich.

Choć zespół naszego teatru jest właściwie nowy poczuwamy się do kontynuacji dwunastoletniej tradycji istnienia opery w Łodzi. Prawda, że w ostatnich latach cieszyła się ona wśród publiczności mniejszą popularnością niż w momencie startu, ale złożyły się na to obiektywne przeszkody. Głównie brak własnej, przystosowanej do tego typu widowisk sali, opera nie lubi bowiem improwizacji. Postaramy się w naszej działalności na powrót zainteresować widza w Łodzi opera uwzględniając możliwie szeroki wachlarz repertuarowy.

Na otwarcie sezonu przygotowujemy 4 pozycje operowe oraz balet. Będą to „Straszny dwór" i „Halka" Moniuszki, „Carmen" Biseta, „Kniaź Igor" Borodina oraz balet „Pan Twardowski" Różyckiego. Wszystkie te spektakle są daleko zaawansowane, doprowadzone z wyjątkiem baletu, niemal do próby generalnej, która jednak będzie się mogła odbyć dopiero w warunkach pełnej sprawności technicznej nowego gmachu.

Jest naszą ambicją, aby w nowoczesnym gmachu zagościł rzeczywiście nowoczesny teatr operowy. Podkreślam to — teatr. Nie będzie więc u nas miejsca na „popis wokalny w kostiumie", w każdym zaś razie nie te momenty będą nas interesowały. Mamy wielką szansę zdobyć widza dobrym aktorstwem i widowiskowością, postaramy się, aby nasze inscenizacje były rzeczywiście ciekawe. Czynimy na przykład starania, aby jedną z pozycji wyreżyserował dla nas Dejmek.

Formułę naszego teatru ustalimy dopiero po spotkaniach z widownią, liczymy tu zarówno na miasto jak i region. Formuła ta będzie jednak na pewno na tyle szeroka, że obok opery pomieści w sobie klasyczną operetkę i wielki musical. Tego typu teatru Łodzi brakowało, podobnie jak brakowało dostatecznie reprezentacyjnego gmachu. Jestem przekonany, że obecnie nie będzie już żadnych przeszkód, aby nasze miasto gościło najlepsze teatry z zagranicy, które do tej pory odwiedzały wyłącznie Warszawę czy Kraków. Ta szansa oglądania najwartościowszych zespołów europejskich jest dodatkową wartością nowej inwestycji. Myślę, że poza ciekawością, jaką niewątpliwie będzie towarzyszyć naszym krokom na początku, widz przyjdzie do nas zobaczyć po prostu teatr i będzie tu wracać, aby przeżywać wzruszenia, które sobą przynosi monumentalny spektakl. Wzruszenia, których gdzie indziej nie można doświadczyć. To wielka szansa.

ROMAN SYKAŁA

Dyrektor Teatru Powszechnego w Łodzi

Ja osobiście bardzo nie lubię pustych krzeseł na widowni, ale doświadczenia naszego teatru uczą, że nam to w Łodzi nie grozi. Pod względem frekwencji na spektaklach nasze miasto zajmuje trzecie miejsce w kraju, po Warszawie i Krakowie, a przecież jest młodszym ośrodkiem kulturalnym i nie ma tylu wycieczek, które zwykle prowadzą się do teatru.

Placówka, która kieruję, przekroczyła zarówno plany ilości widzów na przedstawieniach, jak i plany wpływów, a nie wydaje mi się, abyśmy powiedzieli na tym odcinku ostatnie słowo. Oznacza to, że w Łodzi istnieje trudna do oznaczenia, ale ogromna grupa widzów, widzów rezerwowych, których teatr pociąga i trzeba tylko do nich umiejętnie dotrzeć. Mogą oni stać się bywalcami opery, jeśli jej start będzie udany, co wcale nie jest takie proste do zrealizowania. Przecież właściwie w Łodzi nie było opery, zaczyna się niemal od pozycji zerowej. „Na rozruch" zaś trzeba przygotować 5 spektakli jednocześnie.

Ale ci rezerwowi widzowie mogą pokochać także teatry dramatyczne. Proces taki właśnie u nas obserwujemy. Frekwencja wzrasta niemal ze spektaklu na spektakl, są sztuki, które mają więcej niż 100 przedstawień. Jest to zjawisko w Łodzi nowe i chyba za mało o nim się mówi, chociaż w warunkach robotniczego miasta to przecież sukces. Cieszy nas zwłaszcza to, że mamy stałych klientów, rady zakładowe, gdyż zależy nam na jeszcze silniejszym związaniu teatru z odbiorcami ze środowisk produkcyjnych.

Być może ta pomyślna sytuacja wynika z formuły naszego teatru, który stara się być rzeczywiście powszechnym poprzez szeroki wachlarz repertuarowy, aby każdy znalazł tam coś dla siebie. Oznacza to różnorodność tematyczną i inscenizacyjną, nie zaś jakościową. Przykładowo w naszych planach na najbliższy sezon obok „Meteora" Dürenmatta znalazło się „Wesele" Wyspiańskiego, obok adaptacji Caldwellowskiego „Poletka Pana Boga" współczesna sztuka polskiego pisarza Abramowa pt. „Derby w pałacu", obok słynnego dramatu Majakowskiego „Pluskwy", który najprawdopodobniej reżyserować dla nas będzie Rosjanin prof. Akimow, wystawiamy młodzieżowe „Mocne uderzenie" z Raksa i Kubickim. Celowo wymieniam te nazwiska, publiczność łódzka chodzi bowiem nie tylko na sztuki, chodzi także na aktora. To ostatnie upodobanie publiczności będzie mogła łatwo na swoje konto zdyskontować opera zapraszając na gościnne występy najsłynniejszych śpiewaków europejskich. Chociaż, jeśli opera będzie dobra, znajdzie widzów i bez tego. Znając ambicje jej kierownictwa przewiduję, że nie będzie miała kłopotów z zapełnieniem miejsc na widowni. A czy jej powodzenie nie odbije się na frekwencji u nas w teatrze? Na pewno nie wysuniemy postulatu: zamknijcie operę, zabrała nam widzów. Postaramy się tylko, aby każdy spektakl w naszym teatrze był wielkim przeżyciem dla publiczności, aby widz, który raz do nas przyjdzie, zatęsknił za ponownym spotkaniem z nami. Krótko: postaramy się robić jeszcze lepszy teatr.

DR BOLESŁAW LEWICKI

Docent Uniwersytetu Łódzkiego

Nie jestem miłośnikiem opery i obawiam się, że podobne upodobania ma większość łodzian. Dlatego też przewiduję duże trudności w funkcjonowaniu nowej inwestycji przy pl. Dąbrowskiego. Już ta opera, która do tej pory mieliśmy w mieście, grająca rzadko i w małej sali ledwie egzystowała, co jest zupełnie uzasadnione z socjologicznego punktu widzenia. Niepopularność widowisk operowych nie jest bowiem specyfiką Łodzi, przeciwnie. Zjawisko to, występujące u nas, jest po prostu funkcją sytuacji istniejącej aktualnie w Polsce i w ogóle na świecie.

Łódź ma oczywiście swoją teatralną szansę. Jest nią regionalizm. W regionaliźmie właśnie tkwi tajemnica powodzenia zjawiska artystycznego tej miary co Dejmek. Z chwilą jego wyjazdu do Warszawy skończył się, jako pojęcie historyczne, Teatr Dejmka. Niestety, zbyt często Łódź traktowana jest przez twórców jako poczekalnia w drodze do krainy marzeń nad Wisłą. Bardzo mnie to irytuje, jako łodzianina z powołania i jako widza także warszawskich teatrów. To co było świeże i interesujące na prowincji, roztapia się i marnuje w stołecznym gwarze.

Tak, Łódź ma swoją teatralną szansę, byle przestała być przedpokojem, byle znalazł się ktoś wytrwały na miarę uporu przynajmniej jeśli już nie talentu Dejmka. Klimat jest sprzyjający, bo nasza widownia jest świeża, nie kryje swoich prawdziwych uczuć, nie udaje, że jej się coś podoba, kiedy podobać się nie może. A opera to trochę muzeum, trochę Panorama Racławicka. Można raz z ciekawości zobaczyć. A teatru się nie ogląda, do teatru się chodzi.

Największą szansą Łodzi jest realizacja dobrego teatru rozrywkowego. Nie ma takiego teatru Warszawa, na jego brak choruje zresztą cała Polska. Nie proponuję zresztą, aby taki teatr umieścić w budynku opery, choć jestem przekonany, że wcześniej czy później trzeba będzie pójść na sytuację jaką mamy w Sali Kongresowej. Czy to się purytanom spodoba czy nie trzeba będzie do świątyni wpuścić i wiec i zebranie, i koncert i młodzieżowego piosenkarza. W przeciwnym razie nikt tych 1.300 miejsc nie zapełni.

EUGENIUSZ URBANIAK

Kierownik biura organizacji widowni w Teatrze Nowym

Nowych 1.300 miejsc teatralnych w Łodzi, dzięki wiadomej inwestycji przy pl. Dąbrowskiego, zmusi nas do jeszcze bardziej, zdecydowanej walki o widza. Przewiduję bowiem, że przynajmniej początkowo, podobnie jak w Warszawie, opera będzie przyciągać ludzi jak magnes, bo szyk, bo wspaniały budynek, gala i prosta ciekawość. A sytuacja teatrów dramatycznych w Łodzi nawet aktualnie nie jest najlepsza. Wprawdzie wykonujemy plany widzów na spektaklach, z planami wpływów teatralnych rzecz się ma jednak odmiennie. Większość rozprowadzanych biletów to miejsca ulgowe, co rzutuje na stan kasy. Mimo to w skali rocznej tylko nieco więcej niż połowa miejsc na widowni jest zajęta. Niepokojąca jest zwłaszcza ucieczka od teatru widza ze środowiska robotniczego, któremu wystarcza sama telewizja.

W ogóle widz łódzki jest bardzo rozpieszczony, korzysta z całego szeregu ułatwień niedostępnych dla mieszkańców innych wielkich miast.

Oczywiście sytuacja nie jest beznadziejna, wymaga tylko nowych środków w zakresie organizacji widowni. Wyjściem najprostszym jest takie ułożenie planów repertuarowych na najbliższe dwa lata (tak długo trwać będzie magia nowego budynku opery), aby przyciągnąć najszersze masy odbiorców. Mówię to po doświadczeniach trzynastoletniej pracy na stanowisku kierownika biura organizacji widowni. Ale to najprostsze wyjście, jest jednocześnie, jak się wydaje, wyjściem najgorszym. Nie wolno nam bowiem rezygnować z wychowywania człowieka poprzez teatr, a schlebianie gustom byłoby daleko posuniętym konformizmem. Uważam więc, że przynajmniej nasz teatr pójdzie na pewno inną drogą.

Jest w Łodzi grupa widzów systematycznie uczęszczających do naszego teatru, którzy nie opuszczają ani jednej premiery. Daje się też zauważyć duże parcie młodzieży, dzięki akcji abonamentowej Kuratorium m. Łodzi. Doświadczenie uczy, że widz, za młodu przyzwyczajany do teatru, pozostaje teatrowi wierny nawet wtedy, gdy zaczyna żyć na własny rachunek, nawet wtedy, gdy jego budżet czasu wolnego gwałtownie się kurczy. Na tę młodzież będziemy stawiać, postaramy się też dotrzeć do nowych kręgów odbiorców. Wymaga to jednak zmiany dotychczasowego systemu kolportażu biletów. Dziś akwizytor jest bardziej handlarzem niż ambasadorem teatru, jest bowiem związany ze wszystkimi teatrami jednocześnie, nie zaś z jednym, w którym ogniskowałyby się jego interesy. Jest to zrozumiałe wobec prowizyjnego systemu wynagrodzenia i sytuacji prawnej akwizytorów, którzy nie mają żadnych uprawnień pracowniczych. Trzeba by pomyśleć o etatach dla kolporterów, związać ich mocno z teatrem, zapewnić pracownicze świadczenia, uczynić z akwizycji profesję i podnieść range zawodu akwizytora. Dopiero w tym klimacie sprawnej organizacji można będzie świadomie prowadzić walkę o widza i co chyba ważniejsze, o teatralne wychowanie naszego społeczeństwa.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Strindberg, wielki Strindberg!

„Zarzucano ostatnio mojej tragedii „Ojciec" *, że jest zbyt smutna, tak jak gdyby chciano oglądać tragedie wesołe. Żąda się radości życia, a dyrektorzy teatrów zamawiają farsy, jakby radość życia polegała na pieceniu bzdur i przedstawianiu wszystkich ludzi jako dotkniętych epilepsją lub idiotów. Osobiście znajduję radość w ciężkich i okrutnych walkach życiowych i cieszę się, gdy się mogę czegoś dowiedzieć, nauczyć". Tak pisał Strindberg w przedmowie do „Panny Julii".

Bardzo mi odpowiada ten cytat, kto roztropny, doczyta się w nim wiele, ale nie musimy wierzyć wszystkim opiniom autora. Jeśli już miałbym coś „załatwić" powyższą cytacją, to tylko rozproszyć panoszące się uprzedzenia jakoby należało oddalać od ludzi literaturę i sztukę trudną, wymagającą jakiegoś wysiłku. Pogląd ów wchodzi szczególnie w obieg w okresie kanikuły i wszyscy bronią się przed rzeczami poważnymi. Czyż bym reprezentował zdanie odosobnione? Nie! Nie takim znów samotny, skoro w taki nieprzychylny czas przychodzi mi w sukurs teatr, który w dodatku po tylu latach nieobecności Strindberga na scenie łódzkiej wystawia „Ojca", ostatnio bodaj granego w Łodzi za dyrekcji Karola Adwentowicza w 1930 roku z dyrektorem w roli tytułowej, jednej z jego najświetniejszych kreacji aktorskich.

Czekałem na Strindberga cierpliwie. Nawet upominałem się o niego niegdyś na tych łamach, prosiłem o zajęcie się nim w przekonaniu, iż ustawicznie winniśmy zawracać do źródeł nowoczesnego teatru, aby się czegoś dowiedzieć. By uzupełniać edukację. To znaczy — leczyć się z zarozumialstwa. Nie postulowałem nigdy lekcji czy powtórek z historii światowego dramatu, nie żądałem też rewii form, gdyż nie dla wszystkich może być to zajmujące. Bardziej potrzebna jest reaktywizacja, poruszenie wyobraźni, a praca imaginacji często wiedzie do rozstrząsania sumień. Nieliczni natomiast pisarze z równą co Strindberg gwałtownością i pasją potrafili wieść dialog z samym sobą.

O ile Hendrik Ibsen, wielki jego rywal, był feministą, szermierzem przywilejów społecznych kobiety, walczył o jej godność, Strindberg z fanatyzmem mizogena obwiniał kobietę o wszelkie zło, ustanawiając niejako teorię walki płci. Wybuch tej nienawiści, będącej jedną z ważniejszych obsesji jego powieści, zazwyczaj z kluczem autobiograficznym oraz dramatów, słyszymy i w „Ojcu", gdzie w finale po obezwładnieniu fizycznym i moralnym mężczyzny następuje tryumf kobiety. Nie te wszakże czy im podobne ilustracje „prawa przemocy", które odnajdziemy i u naturalistów — niejedno łączyło Strindberga ze szkołą naturalistów — wzbudzają podziw; zaskakuje jego przenikliwość i wizjonerstwo w zakresie znajomości psychiki ludzkiej. A zaskakuje tym bardziej, że wyprzedził badania naukowe w tej dziedzinie, kładąc podwaliny pod nowoczesną psychologię. Inaczej mówiąc — antycypował późniejsze doświadczenia i wnioski, uzyskane przez Freuda i Adlera; prekursorstwo to ustalają ponad wszelką wątpliwość i daty i fakty. Był pierwszym autorem, który świat snu, marzeń sennych i kompleksów pokazał na scenie w duchu nowoczesnej psychologii. Ma rację Esslin pisząc, iż takie sztuki jak „Gra snów" (1902) i „Sonata widm" (1907), nb. drukowana przed kilku laty w „Dialogu", stanowią mistrzowskie transkrypcje snów i idei obłędu i są bliskie teatrowi absurdu. Zauważmy, jak ten teatr eksploatuje ponownie pradawne tradycje literatury dramatycznej, tradycje mitu, alegorii i snu, przystosowując je do swoich celów.

W „Ojcu" odnajdziemy zaledwie początki procesu przesuwania terenu zdarzeń z obiektywnej rzeczywistości powierzchownych zjawisk w rzeczywistość subiektywną wewnętrznych stanów świadomości. Tutaj anegdota jeszcze rozwija się w planie realnym, akcja toczy się w dość konkretnym środowisku, jakkolwiek precyzyjniejsze określenia (realia) wydają się wręcz zbyteczne, nie posiadają tego znaczenia co u naturalistów, a również u Ibsena. Cała sprawa została wtłoczona w głąb, rezygnuje się z przestrzeni, konflikt kłębi się pod powierzchnią, w duszach antagonistów, którzy walczą z sobą z bezwzględnością, aż do końca; jeszcze nad trupem Rotmistrza zaakcentuje Laura swe zwycięstwo: „Moje dziecko! Moje, moje dziecko!" Dlatego Nicoll nie bez słuszności sądzi, iż ciekawie byłoby grać „Ojca" na pustej scenie, gdyż jedynymi niezbędnymi rekwizytami są właściwie lampa i kaftan bezpieczeństwa. Na taką propozycję rozwiązania zgodziłby się zapewne i sam autor, antyiluzjonista z przekonania. Miałbym ochotę zobaczyć kiedyś tak wystawionego „Ojca", w mrocznych kotarach, ze zwieszającą na sznurze z paludamentów lampą i podświetlonym wykrojem kaftana, który zmaterializowałby się w odpowiedniej chwili w rękach Niani. Byłby to spektakl wściekle posępny, lodowaty, nazbyt wyrafinowany, by zadowolił szerszą publiczność. Myślę, że równie przejmująco spreparowałby go p. T. Byrski, sprawca obecnego spektaklu. Tym razem interesowało go coś innego. Łagodząc krzyk biologicznej wrogości płci, odsłaniał przejmujący wątek miłości do dziecka, punktował z pietyzmem uczucie rodzicielskie. Z piekła nienawiści małżonków, mimo ich okrucieństwa wobec siebie, próbował ratować — jeżeli poprawnie odczytuję — ukryte w nich warstwy uczucia, niszczone ustawicznie furiackimi podejrzeniami i zbrodniczymi knowaniami. Myśl ta, w istocie rzeczy bliska Strindbergowi, tragicznemu samotnikowi o wielkim sercu, została w rezultacie przeprowadzona przejrzyście i konsekwentnie. Stąd też i nie przywiązywał reżyser znaczenia, zgodnie zresztą z gatunkiem dramatu, skierowanego ku wnętrzu, do ram ekspozycji: gabinet Rotmistrza, dość nijaki, bez dbałości o koloryt skandynawski, skromny, lecz nie surowy, ze skleconymi schodkami, nie absorbuje wcale uwagi. A ciemne barwy ścian i takież ubrań znaczą tylko skonwencjonalizowane współbrzmienie rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Sprzyjało to koncentracji, stężaniu nastroju, przede wszystkim kształtowały go postacie. Przy tym założeniu reżyserskim trudno wręcz zamyśleć sobie lepszego aktora w roli Rotmistrza niż p. L. Benoit. Jego Rotmistrz nie ma cech, które z taką intuicją podpatrzył Adwentowicz, „wydający" u nas kongenialnie „skandynawskich wariatów" — czym zapoczątkował nowy styl gry aktorskiej; nie jest więc rozdygotanym nerwowcem, nie szamoce się ani nie ciska, nie rzuca gromów oczyma, nie poraża atakami obłędu. Takiego Rotmistrza oglądałem np. w grudniu ub. r. w Wiedniu: P. Benoit magnetyzuje bezwładem. I jest nie mniej niepokojący w swoim niemym nieomal skupieniu, i niczym odlana z twardego kruszcu bryła reaguje tylko gdzieś w głębi jakby za dotknięciem strumienia prądu — słów Laury o dziecku. Swą tragedię przynosi z sobą na scenę, wcale jej nie tuszuje, jednak nawet opanowujący go zwolna obłęd nie zmienia jego zachowania: od początku do końca ten sam ciężki toporny chód, umęczona, zszarzała, wielka twarz, zwisające bezwładnie ręce, ni razu nie wznoszące się do groźby — gra całą zwalistą sylwetą. Ten Rotmistrz nie jest ani wojskowym, nie ma nic w sobie z uczonego — intelektualisty, a z mizogena pozostał tylko ojciec z wspomnieniami własnego dzieciństwa.

Hanna Bedryńska i Ludwik Benoit w „Ojcu" Strindberga.

W rezultacie w rozgrywce na śmierć o dziecko racje pozostają przy nim; czy aby nie dlatego, że jesteśmy skłonni przyznawać słuszność tym, co ponoszą klęskę?

P. H. Bedryńska nie pozostała w cieniu swego przeciwnika, przejęła w pokorze to, co przypisał jej Strindberg: była okrutna i nieustępliwa w swych żądaniach, gotowa walczyć każdą bronią, zdecydowana i wówczas, gdy dostrzega już skutki swej intrygi. To samo ograniczenie ruchu i gestu do minimum, i piękna w skamieniałości maska kobiety, która nie zna rozpaczy, która nie zazna i wyrzutów sumienia. W ten sposób grała Laurę moja ulubiona aktorka wiedeńska, Susanne von Almassy, i tak niechybnie trzeba grać. Wydaje się, iż ten styl polega na swoistym antykizowaniu, przywołującym postaci z tragedii antycznej. I to również dobrze. Jakżeby chciało się zobaczyć po tylu latach wspaniałą „Elektrę" J. Giraudoux z p. Bedryńską w tytułowej roli! Ma Teatr Nowy do tej sztuki m. in. Żebraka: p. S. Łaipńskiego, który w „Ojcu" pokazał się jako Doktor; po czechowoskich „Trzech siostrach" to już drugi lekarz w karierze powojennej aktora, dyskretnie, z umiarem wyegzekwowany. Maleńki żal: czemu nazwisko Goethego zabrzmiało jak nazwisko niejakiego „Getego?"

Wprawdzie rozumiem intencję reżysera co do ustawienia postaci Niani — ma być cichą, bezszelestną piastunką — to jednak skrępowało nieco p. W. Jakubińską, wskutek czego nie wydobyła w pełni siły ważności tej postaci. Posiadając tak wyborne poczucie dramatyzmu i przejmującą barwę głosu, winna była podwyższyć nieco swój ból w scenie nakładania kaftana. W głuche milczenie, w to piano grozy, powinien był wedrzeć się jej spazmatyczny krzyk, byłby to krzyk w obronie dzieci, będących obiektem brutalnego przetargu rodziców, krzyk uogólniający treść sytuacji, zrywający jakby po drodze szept opowieści piastunki i sen pogodny ojca.

W przedmowie do „Panny Julii" Strindberg marzył dla swoich dzieł o małej scenie, o małej widowni, o teatrze, który „stałby się znowu przynajmniej rozrywką dla ludzi światłych".

Nie obawiajmy się wystawiać dla nich dramaturgów z rodziny Strindbergów, uprawiajmy teatr dla ludzi światłych!

P.S. Raczej przypadkowo, jak tuszę, oglądałem „Ojca" z liczną gromadką nastolatków. Podobno wprowadziła ich jakaś pani wychowawczyni czy opiekunka. Nie narzekam, siedzieli grzecznie, przykładnie, „ubaw" był tylko w momencie nakładania Rotmistrzowi kaftana bezpieczeństwa. Nie dziwię się dzieciom, nawet nie obruszam się na Jakąś Panią Wychowawczynię, ostatecznie tytuł sztuki i zbożny i dydaktyczny, żadna przecie „Panna młoda" czy „Taka noc nie powtórzy się więcej". Znaczy to, że dzieciska kochają teatr, co istotniejsze, że chodzą do teatru. I w tym tkwi sedno rzeczy. Jak dotąd nikt się nie kłopocze, że nasze teatry nie uwzględniają wcale repertuaru dla podrostków między 11 a 15 rokiem życia. Jest tu pas próżni, niepokojący. I ogromny, zasłużony wysiłek teatru lalek idzie na marne, skoro po wyjściu z jego murów nie ma przez szereg lat odpowiedniego dla nich teatru.

Proszę państwa, zastanówmy się doprawdy!!

***) August Strindberg, „Ojciec", dramat w trzech aktach, przekład Zygmunt Łanowski, reż. Tadeusz Byrski, scenografia Liljana Jankowska. Mała Sala P. Teatru Nowego, sezon 1965/66.**

KRONIKA

Antytelewizyjna

POD ZNAKIEM FUTBOLU

No więc gromadny niepokój ustąpił gromadnemu westchnieniu ulgi: mamy możność oglądania na małym ekranie mistrzostw świata i widzieliśmy nawet królową angielską. Chętnie przeczytałbym jakąś rozprawkę psychologiczno-socjologiczną na temat kibiców sportowych, na czym polega kibicowanie, dlaczego niektóre dyscypliny sportowe gromadzą dziesiątki tysięcy kibiców, ku zazdrości pisarzy i artystów, dlaczego z Portugalii przyjechało do Anglii aż osiem tysięcy kibiców, a w niektórych krajach, jak w Brazylii, piłkarze są niemal bohaterami narodowymi?

Hemingway, wielbiciel walki byków, dużo pisze o torreadorach, a przecież nie bardzo wyjaśnia, co jest przyczyną uwielbienia. Wymienia męstwo i męskość, to mało. Dlaczego nie tenis, sport o wielkim wdzięku, ale boks, futbol? Można różnych dopatrywać się przyczyn. Kiedyś pewien znany felietonista pisał, że w ludziach istnieje potrzeba bezinteresownego zaangażowania, przeżywania bez ryzyka, tę możliwość daje właśnie sport. Być może! Ostatecznie bowiem, redukując przyczyny, można dojść do wniosku, że wszystko jedno czy wygra Portugalia czy przedstawiciele naszych bratanków, Węgrzy. A jednak stale ktoś komuś życzy wygranej, zaciska kciuki, dopinguje okrzykami. Możliwe więc, że dużą rolę odgrywa owa potrzeba bezinteresownego, dodajmy, że i nie pociągającego za sobą żadnych skutków, zaangażowania, niejako abstrakcyjnego. Przyczyn jednak jest na pewno znacznie więcej. I różnią się one w wypadku różnych dyscyplin sportowych.

Popularny prof. Wiktor Zin z Krakowa — z trudem używam tego określenia po ustępie o futbolu — wszedł jak gdyby w trzecią fazę znakomitych pogadanek, w których doskonale uzupełniają się słowo i kreska. Najpierw zapoznawał nas ze sprawami architektury zabytkowej, następnie poetyzował na temat przyrody, co mnie, znającemu wiele wierszy pejzażowych, najmniej się podobało ze względu na zbytni tradycjonalizm wypowiedzi, ostatnio próbuje zainteresować telesłuchaczy swoistą urodą współczesnych fragmentów przemysłowych, mówił o Nowej Hucie. Wolno mniemać, że będzie do tej sprawy powracać, gdyż polega ona na korzystnych i koniecznych zmianach, jakie dokonują się w krajobrazie współczesnej Polski.

Chętnie będziemy nadal słuchać prof. Zina!

W ramach trzeciego festiwalu teatralnego ujrzeliśmy „Warszawiankę" (1898) ze stołecznego Teatru Klasycznego w reżyserii Ireneusza Kanickiego. Niestety, „Warszawianka" zawiodła. I to pod wieloma względami.

Zaczyna się od tego, że utworu nie rozegrano w dworku, lekceważąc Wyspiańskiego, człowieka teatru pod każdym względem. Zagubiono zarówno nastrój romantyczny jak i kunktatorstwo Chłopickiego, niewiarę. Innymi słowy, zagubiono „rewizjonistyczny" i polemiczny sens utworu pisarza, o którym pisał Kleiner, że „był pierwszym poetą nadchodzącej państwowości".

Sukces, oczywiście, trudno było osiągnąć. Zbyt wiele wokół „Warszawianki" nagromadziło się legendy, dotyczącej interpretacji i inscenizacji. Wystarczy przypomnieć choćby legendę o Solskim w roli Wiarusa.

Otrzymaliśmy „Warszawiankę" poszatkowaną na poszczególne sceny, nie zespoloną.

„Pocztówka z Beunos Aires" Andrzeja Wydrzyńskiego odznacza się mnogością spiętrzeń rozmaitej natury, powikłaniami fabularnymi, komplikacjami, które są mało przekonywujące. Przynajmniej dla czytelników autentycznych relacji szpiegowskich. Był to kicz, przypominający przedwojenne powieści wydawane w zeszytach po pięć groszy. Wygląda na to, że spotkamy się z jego dalszym ciągiem.

A w ogóle czy opowieści z dalszym ciągiem nadają się dla TV? Już przy innej okazji na ogół na to sarkano, choć nie wolno przesądzać sprawy, trzeba próbować.

Ciekawie natomiast rozwija się cykl, związany z problematyką urodziwej, choć okrutnie dotkniętej przez wojnę, Ziemi Kieleckiej. Czy takie systematyczne, potrącające trochę o monografię, wędrówki po kraju nie miałyby na dłużej, nie tylko ze względu na turystykę, swojej racji bytu? Wedle zasady, że cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie...

Jan Huszczo

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

UCIECZKA Z PARYŻA Marc de Gastyne'a to film o dzieciach. Głównymi bohaterami są córka wróżki — mała Pepé i nieco starszy od niej syn notorycznego pijaka Trique. Mieszkają w tej samej kamienicy na Montmartrze. Smutne jest ich dzieciństwo. Pepé pozostawiona jest w gruncie rzeczy samej sobie. Matka — straszliwie zacofana, okrutna w swej głupocie nie ma dla niej czasu. Jednym z zajęć Pepé jest zbieranie z grobu ojca ziół, potrzebnych matce do rzekomych rozmów z duchami. Mała bardzo dużo pomaga w domu. Jest straszliwie samotna. Pragnie opieki, ciepła, interesowania się nią. Trique także napotyka na problemy zbyt trudne, za ciężkie dla dziecka. Jest stale świadkiem okropnych awantur między rodzicami, potem odejścia matki. Zostaje z ojcem sam, z pijakiem, którego własny syn niewiele obchodzi. Zamiast matki — teraz Trique zostaje służącą ojca. I chociaż stara się to pokryć szorstkością, chłopiec jest także straszliwie samotny. Trafił swój na swojego — charakterystyczne, że właśnie tych dwoje dzieci przylgnęło do siebie. Chcą uciec ze swojego środowiska, ze świata, w którym tak trudno im wytrzymać. Trique postanawia: uciekną do Ameryki. Próba ucieczki zakończona w nadmorskim lesie skończy się dla Pepé tragicznie. Przypłaci ją życiem. Dla Trique'a jest to najbardziej bolesny cios w życiu, chłopiec sam pragnie po nim śmierci.

Niewątpliwym urokiem filmu jest jego specyficzny humor. Mali bohaterowie są nieraz komiczni w swej powadze, w swym naśladowaniu dorosłych. „Ucieczka z Paryża" ma tę specyficzną atmosferę wrażliwości, jaką cechuje filmy o dzieciach. Ich świat posiada przecież inne niż u dorosłych wymiary, problemy radości i smutki. Trique i Pepé są jednocześnie bardzo dziecinni i przedwcześnie dojrzali. Wzruszają i zasmucają. Potwierdza się tu raz jeszcze, że dzieci są często najlepszymi aktorami. To urzekająca para. Dla nich — warto obejrzeć ten film. Świat dorosłych robi bowiem wrażenie stereotypowego, pozbawiony jest tej autentyczności, wrażliwości, subtelności, z jaką przedstawia się w „Ucieczce z Paryża" małych bohaterów. Zniechęca swym wulgarnym psychologizmem.

„ZJADACZ DYŃ" Jacka Claytona to bardzo dziwny film. I bardzo nierówny. Ma momenty znakomite obok partii, które wyraźnie nużą. Absurdalny jest sam punkt wyjścia: scenarzysta filmowy poślubia matkę siedmiorga dzieci, dwukrotnie już zamężną. Mimo tylu porodów — pani jest piękna i powabna, a jej jedynym niemal marzeniem jest jeszcze jedno dziecko. Chwilami odnosi się wrażenie, że film jest zakamuflowaną reklamą zabiegu sterylizacji, któremu w końcu poddała się bohaterka. Odwaga „Zjadacza dyń" polega jedynie na poruszeniu tematu, który stanowił dotąd filmowe tabu. Niepotrzebnie jednak stosuje się przy tym metody łopatologiczne, przejaskrawia wszystko tak bardzo, że można odczuć to chwilami nie jako zabieg artystyczny, lecz po prostu chwyt reklamowy, czy — ostrożniej — publicystyczną realizację z góry przyjętej tezy.

Mówiac o momentach znakomitych, miałam na myśli przede wszystkim aktorstwo. Anne Bancroft i Peter Finch to doskonała para. Najlepsze są te partie, kiedy oboje grają twarzami, ciałami, kiedy obywają się bez słów. Świetna jest walka spojrzeń Jo i Jake'a na pogrzebie jej ojca, czy scena końcowa filmu — oczekiwanie, niema prośba Jo o przebaczenie. Bardzo dobra jest scena przedstawiająca Jo po zabiegu w szpitalu, kiedy wybucha histerycznym ni to śmiechem, ni to płaczem. Takich naprawdę dobrych, pozostających w pamięci momentów jest zresztą więcej. Clayton umie pokazywać człowieka. Umie go analizować bardzo szczegółowo przy pomocy kamery. Wdzierać się w jego psychikę. Dlatego niezależnie od tematu, który niezbyt szczęśliwie został tu ujęty, znajdziemy w „Zjadaczu dyń" sporo prawdy o człowieku, chwilami wstrząsającej.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NAGRODA NOWOJORSKIEJ KRYTYKI DLA PETER WEISSA

■ „Prześladowanie i zamordowanie Jeana Paul Marata", dramat, którego autorem jest Peter Weiss, uznany został przez nowojorskich krytyków („New York Drama Critics Circle") za najlepszy utwór sceniczny wystawiony w sezonie 1965/66 na Brodwayu. Nagroda dla pisarza wyniosła 1.000 dolarów. Poprzednio Niemiecka Akademia Sztuk wyróżniła Peter Weissa nagrodą im. Henryka Manna za oratorium pt. „Die Ermittlung" (Przesłuchanie). Ten utwór sceniczny, którego wstrząsającą treść oparł autor na dokumentach sądowych z procesów przeciwko przestępcom wojennym, wystawiany był na wielu scenach w wielu krajach Akademia przyznając nagrodę podkreśliła zasługi Peter Weissa jako pisarza walczącego z faszystowskim i neofaszystowskim barbarzyństwem.

Peter Weiss

Peter Weiss urodził się dnia 8 listopada 1916 roku pod Berlinem, matka jego była Polką z pochodzenia. W latach szalejącego w Niemczech hitleryzmu Weiss emigrował wraz z rodzicami do Szwecji, gdzie następnie przyjął tamtejsze obywatelstwo.

Początkowo Peter Weiss uprawia malarstwo, wkrótce jednak poświęca się literaturze. W roku 1960 — po próbach pisania w języku szwedzkim — ukazuje się tom jego prozy pt. „Der Schatten des Körpers des Kutschers" (Cień postaci woźnicy), w latach 1961 i 1962 ukazuje się jego powieść „Abschied von den Eltern" (Pożegnanie z rodzicami) i „Fluchtpunkt" (Punkt ucieczki), w których Peter Weiss pomieścił wiele elementów autobiograficznych. Pierwszą sztuką sceniczną była „Nacht mit Gästen" (Noc z gośćmi). W roku 1946 na deskach scenicznych ukazuje się dramat, którego pełny tytuł brzmi: „Die Verfolgung und Ermordung Jean Paul Marats, dargestellt durch die Schauspielgruppe des Hospizes zu Charenton unter Anleitung des Herrn de Sade" (Prześladowanie i zamordowanie Jean Paul Marata, przedstawione przez zespół teatralny przytułku w Charenton pod kierownictwem pana de Sade). Sztuka została uznana przez krytykę jako jedno z najwybitniejszych dzieł scenicznych ostatnich lat.

Obok swej twórczości dramatycznej, Peter Weiss tłumaczy na język niemiecki dzieła Augusta Strindberga. Jest także autorem scenariuszy i reżyserem współpracującym przy realizacji wielu dokumentalnych i krótkometrażowych filmów. Jest członkiem znanego niemieckiego zespołu pisarzy „Grupa 47".

JEAN RENOIR KRĘCI FILM O AUGUŚCIE RENOIR

■ Znany reżyser filmowy Jean Renoir odwiedził ostatnio miejscowość Essoyes, gdzie na małym cmentarzu znajduje się grób jego słynnego ojca, malarza Augusta Renoira. Jean Renoir nakręcił dla telewizji francuskiej fragment filmu o życiu wielkiego malarza. Całość filmu nadana ma być w telewizji w grudniu bieżącego roku.

CZY RYSUNKI CÉZANNE'A WRÓCĄ DO FRANCJI?

■ Rząd francuski podjął w sądzie nowojorskim kroki prawne w celu odzyskania 8 rysunków Paul Cézanne'a. Należały one do muzeum w Luwrze i zginęły ze stałej wystawy urządzanej przez to muzeum w Aix-en-Provence, a jak się następnie okazało znalazły się w Stanach Zjednoczonych. Rysunki te Cézanne sporządził ołówkiem i piórkiem. Przedstawiają one mężczyzn, kobiety, konie. Rysunki pochodzą ze szkicownika, z którego wydarł ktoś cztery kartki.

Sprawa kradzieży wyszła na jaw we wrześniu 1962 roku, kiedy to amerykański malarz i rzeźbiarz Harry Jackson chciał rysunki Cézanne'a odprzedać jednej z galerii obrazów w Nowym Jorku. Właściciel tej galerii, zdając sobie sprawę z wartości przedłożonych mu do kupna dzieł (ok. 20.000 dolarów), zawiadomił o tej propozycji F.B.I. (Federalne Biuro Śledcze), które rysunki zatrzymało. Harry Jackson wystąpił do sądu o nieprawne zajęcie dzieł Cézanne'a przez FBI, twierdząc, że nabył je w sposób legalny. Kupić je miał podobno w 1954 roku w Aix-en-Provence za 80 dolarów od woźnego dawnej pracowni Cézanne'a. Indagowany woźny stwierdzał, że rysunki te dostał od swego ojca, ojciec jego zaś wszedł w ich posiadanie, ponieważ sam Cézanne mu je podarował. Przyjaźnił się bowiem z ojcem owego woźnego.

Pracownicy muzeum w Luwrze po zbadaniu szkicownika znajdującego się w Aix-istotnie, cztery kartki ze en-Provence orzekli, że szkicownika Cézanne'a zostały wydarte i zaginęły. Na skutek tych badań i zeznań, rząd francuski już w 1963 roku zwracał się do rządu Stanów Zjednoczonych o zwrot rzeczonych rysunków. Stany Zjednoczone odmówiły na razie zwrotu motywując to tym, że najpierw musi być rozpatrzona skarga Jacksona przeciw zatrzymaniu dzieł Cézanne'a przez FBI.

Obecnie rząd francuski zwrócił się do sądu nowojorskiego o wydanie rysunków i wstrzymanie wszelkich innych działań prawnych, gdyż te dzieła Cézanne'a należą bezsprzecznie do Francji i winny być jej zwrócone.

„NOWA GALERIA" W WIEDEŃSKIM MUZEUM SZTUKI

Muzeum Sztuki w Wiedniu otworzyło „Nową Galerię", gdzie od paru dni można podziwiać obrazy Cézanne'a, Moneta, Maneta, Delacroix, Courbeta, Corota, Van Gogha i innych malarzy impresjonistów i symbolistów. Do najważniejszych dzieł wystawionych w „Nowej Galerii" należą: martwa natura Paul Cézanne'a, wspaniałe płótno „Po kąpieli" Augusta Renoira, „Rybacy nad Sekwaną" Claude Moneta i autoportret Van Gogha.

EKSPERYMENT TELEWIZYJNY

■ Jednym z ciekawszych eksperymentów stosowanych przez francuską telewizję jest nagrywanie przez reżysera André Voisin improwizowanej gry aktorskiej. Odbywa się to w ten sposób, że reżyser zwraca się do aktora, aby ten bez przygotowania zagrał kolejne, różne, charakterystyczne postacie ludzkie. Cała gra jest od razu i „na żywo" utrwalana na taśmie. Aktorem, który świetnie wywiązuje się z tego zadania jest Jean Rochefort. Kreuje on najrozmaitsze postacie jak np. zgorzkniałego urzędnika, starego dozorcy, bogatego próżniaka, byłego wojaka, reportera itd. Rochefort doprowadził do doskonałości umiejętność tak charakterystyczną dla wielu gawędziarzy, niejako wcielania się kolejno w różne osoby, o których właśnie opowiada.

ZMARŁ PISARZ CARLOS LUIS FALLAS

■ Niedawno zmarł pisarz Carlos Luis Fallas z Kostaryki, autor cenionego w wielu krajach dzieła pt. „Mamita Yunai". Powieść tłumaczona była na jedenaście języków. W książce tej Carlos Luis Fallas opisał nieludzkie warunki pracy robotników na plantacjach bananowych. Przez jakiś czas sam autor zatrudniony był jako robotnik na plantacjach. Inną powieść tego autora „Marcos Ramirez" zawiera wiele elementów z biografii samego Carlosa Fallasa, jest także odzwierciedleniem zwyczajów i tradycji ludu w Kostaryce.

Pisarz był laureatem nagrody literackiej swego kraju. Był jednym z pionierów syndykalizmu w Kostaryce, a następnie stał się jednym z czołowych działaczy partii komunistycznej, która w tym kraju do dziś jest nielegalna.

W hołdzie dla zmarłego pisarza, jego rodak, malarz przebywający obecnie we Francji, wykonał ilustracje do powieści „Mamita Yunai".

„NAJBARDZIEJ ZABAWNY CZŁOWIEK NA ŚWIECIE"

■ Taki będzie tytuł długometrażowego filmu poświęconego Charlie Chaplinowi. Film ukazać ma nie tylko życie wielkiego aktora i reżysera, ale jego pracę i jej metody oraz zawierać będzie fragmenty filmów, jakie nigdy nie były dotąd wyświetlane.

„WIELKI KOŃ"

■ Rzeźba zatytułowana „Wielki koń" została wykonana przez francuskiego artystę Raymonda Duchamp-Villona w niewielkich rozmiarach w roku 1914, z przeznaczeniem na pokazanie jej w Salonie Jesiennym. Wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił tę ekspozycję. Rzeźbiarz na cztery lata przed swą śmiercią (w 1918 r.) wyraził życzenie, aby jego „Wielki koń" wykonany został w większym rozmiarze. Dopiero teraz spełniono życzenie zawarte w testamencie. „Wielki koń" ma wysokość półtora metra, waży 525 kilogramów, a ustawiony jest na cokole w ten sposób, żeby można było swobodnie oglądać rzeźbę ze wszystkich stron.

Krytyka podkreśla, że dzieło Raymonda Duchamp-Villona wtedy, gdy powstawało, było śmiałe i nowatorskie.

TYTOŃ TEMATEM OBRAZÓW

■ Francuski Salon popuiliste przyjął jako zasadę eksponowanie dzieł malarskich, których treść i sens zostały zainspirowane przez życie i pracę szerokich mas. W tym roku takim wybranym tematem jest tytoń. A więc obrazy przedstawiają niemal całą historię tytoniu, jego plantacje, uprawę, zbiór liści, sprzedaż cygar i papierosów i wreszcie palaczy tytoniu lub cygar. Niektóre płótna zostały wypożyczone z muzeum sztuki nowoczesnej.

RODIN I JEGO CZASY

■ W Muzeum Sztuki im. Puszkina w Moskwie otwarto wystawę pt. „Rodin i jego czasy". Po raz pierwszy zgromadzono w tym mieście taką wielką ilość oryginalnych dzieł francuskich artystów. Wystawa poświęcona jest głównie wielkiemu rzeźbiarzowi Auguste Rodinowi (1840—1917), a także malarzom i rzeźbiarzom francuskim jemu współczesnym. Największa sala muzeum obrazuje twórczość samego Rodina. Są tu jego słynne rzeźby „Mieszczanie z Calais", „Adam", „Ewa" i portret Balzaca. W innych salach obok, znajdują się dzieła takich twórców jak Bourdelle, Renoir, Maillol. U wejścia do gmachu Muzeum umieszczono rzeźbę Antoine Bourdelle'a zatytułowaną „Francja".

Rys. P. Picasso.

UDANY KONKURS

Z doniesień prasy codziennej czytelnicy mogli się już dowiedzieć, jakie są wyniki konkursu na powieść o tematyce walk partyzanckich i ruchu oporu na Ziemi Łódzkiej, który to konkurs zorganizowały Wydział Kultury Prezydium WRN, Związek Literatów Polskich i Wydawnictwo Łódzkie. Nazwiska laureatów są znane, tytuły prac nagrodzonych i wyróżnionych także, zaciekawienie budzić może treść tych prac, zawarta w nich problematyka i walory artystyczne.

Jako jeden z jurorów tego konkursu, chciałbym dokonać krótkiej charakterystyki nadesłanych materiałów oraz ocenić poziom prac nagrodzonych. Stwierdzamy od razu, że konkursy, określające ściśle swoje zamiary i cele, nie są łatwe i nazbyt dla pisarzy zachęcające. Jeśli w tych warunkach nadesłano jedenaście maszynopisów, z których dwa zostały nagrodzone a trzy wyróżnione — można i należy mówić o tym, że konkurs się udał.

Autorzy głównych nagród, Zbigniew Nienacki i Tadeusz Papier, są pisarzami znanymi, których czytelnikom przedstawiać nie trzeba. Zarówno „Święta miłość" Nienackiego, jak „Róża i dziadek" Papiera prezentują dojrzały poziom literacki, zawierają atrakcyjnie podaną fabułę, postacie i konflikty, w obu tych utworach narysowane, narzucają się wyobraźni, ba! zdolne są nas głęboko poruszyć. Obraz okupacji, jaki się z tych powieści wylania, zawiera sporo scen, rzucających nowe światło na przeżycia i perypetie ludzi w tamtych czasach.

Wyróżniona powieść Edwarda Szustera pod nieco pretensjonalnym tytułem „Jak miecz głownią zatknięty w ziemię" cieszy z dwu co najmniej powodów. Po pierwsze: Szuster dawno już nie wyszedł na rynek księgarski z nową książką, co niejednego z życzliwych mu kolegów napawało pewnym niepokojem, i po drugie: powieść, o której mowa, ciekawie pomyślana i nie mniej ciekawie napisana, odtwarza działania partyzanckie w okolicach Piotrkowa, o czym ciągle jeszcze wiemy za mało.

Niespodzianką in plus jest powieść Tadeusza Słupeckiego pt. „Egzamin". Autor posłużył się konwencją prozy nowoczesnej, nie do tego stopnia jednak, by powieść jego stała się nieczytelna. Dobry chwyt formalny (akcja powieści dzieje się retrospektywnie, gdy narrator oczekuje na egzamin maturalny) każe z dużą nadzieją patrzeć na przyszłe możliwości autora.

I wreszcie utwór Edwarda Kopczyńskiego „Drogi łączyły się w lesie". Kopczyński ogłosił niedawno swój debiut „Trudne edukacje", który spotkał się z przychylnym osądem na łamach „Nowych książek". Obecna powieść nie jest gwałtownym skokiem naprzód w stosunku do debiutu, myślę nawet, że przed oddaniem do druku autor winien jeszcze nad nią popracować, dowodzi jednak, że Kopczyński traktuje pisarstwo poważnie i pracuje usilnie nad zdobyciem własnego stylu.

Co powiedzieć na pociechę tym autorom, którym się nie udało, którzy nie zostali ani nagrodzeni, ani wyróżnieni? Nie powiodło im się nie dlatego, że nie mieli dostatecznie ciekawego materiału. Zasób faktów i wiadomości w ich utworach budził niekiedy moje zdumienie. Cóż z tego, skoro nie dali sobie rady z formą literacką. Nie zdołali wyjść bądź poza ramy relacji życiorysowej, bądź poza kronikarski, nagi zapis sytuacji. To za mało. Materiał podany w kształcie surowym, nie przetworzony, nie awansuje tych prac do literatury. Nie jest wykluczone, że w przyszłości i oni zdobędą się na godniejsze uwagi rezultaty.

JAN KOPROWSKI

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

„Harnam" jedzie do Belgii. Nasz popularny zespół włókniarski weźmie udział w uroczystości obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, zorganizowanej przez ambasadę PRL w Brukseli, oraz na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Choten. Łódzcy tancerze dadzą pięć występów na festiwalu, ponadto zatańczą w Ostendzie na prośbę Belgijskich Związków Zawodowych.

Tańce ludowe będą więc reprezentowane za granicą przez nasz zespół. Należy życzyć sukcesów.

WTOREK

Dzień otwarcia Kongresu Kultury Polskiej coraz bliższy. Minister Motyka zaprosił do Warszawy redaktorów naczelnych czasopism kulturalnych i przedstawił stan przygotowań do tego wielkiego święta, które jak się wydaje, będzie powtarzane. Spotkanie miało charakter roboczy, minister zachęcał nawet do krytyki przygotowań organizacyjnych.

Szło bowiem o to, jakiego rodzaju świętem ma być Kongres. Wszyscy zebrani zgodni byli co do tego, że nie może on stać się wyłącznie „galówką". Winien on, przynajmniej fragmentarycznie, ustalić przesłanki nowego modelu kultury. Ta przyszłościowa wizja polskiej kultury wyłoni się z referatów i głosów dyskusyjnych, a co ważniejsze, będzie realizowana. Nadaje to Kongresowi dodatkowego, już czysto praktycznego znaczenia.

ŚRODA

Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego ogłasza konkurs na wspomnienia z życia w zakładzie pracy.

W konkursie mogą wziąć udział aktualni lub byli pracownicy zakładów przemysłu lekkiego.

Prace konkursowe mogą być opracowane w formie wspomnień, opowiadania lub reportażu. Pożądane jest, aby obrazowały one warunki pracy, atmosferę współżycia załogi, problematykę produkcyjną, współzawodnictwo, awans społeczny, zawodowy i kulturalny, rolę organizacji zakładowych w życiu załogi itp.

Interesujący konkurs i przyniesie zapewne wiele materiałów o charakterze socjologicznym, ekonomicznym i psychologicznym — nie mówiąc już o tym, że może wyłonić jakiś talent pisarski.

Zachęcamy. Bliższe dane o konkursie: Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego — Łódź, ul. Sienkiewicza 13.

CZWARTEK

Dobrze, że Teatr Narodowy w Łodzi jest już na ukończeniu. Tylko patrzeć jak wybitne zespoły krajowe i zagraniczne zawitają do nas. Tylko patrzeć jak widownia (ponad 1300 miejsc) zapełni się po brzegi. Tylko patrzeć jak w lustrach na parterze teatru i w foyer odbije się (niewykrzywione) wielkie życie teatralne Łodzi.

Tymczasem jednak („nim co") trzeba zdrowo pomyśleć o własnej „mocy" repertuarowej, aktorskiej, scenograficznej i — jak już zauważono — nade wszystko reżyserskiej.

Kłopoty jak z nowym, pakownym mieszkaniem. Dobre kłopoty.

PIĄTEK

A Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych uprzejmie zaprasza na nową Otwarcie Wystawy. A gdzie, a gdzie? W kawiarni „Bałaton". „Podrobno", a mimo to z rozmachem prowadzi akcję wystawienniczą Towarzystwo. Właśnie czegoś brakowało naszym kawiarniom. A czego? Dobrych obrazów. Bo wisiało albo nic, albo złe rzeczy na ścianach naszych kawiarń.

Siada człowiek, pije kawę i czeka na wybrankę lub wybranka serca. Popatruje to tu, to tam, aż oko zatrzymuje na ścianie. A na ścianie obrazy. Opatrzy się człowiek, oswoi po paru „randkach" i zupełnie inne już nastawienie do tych „picassów", które zdarzy mu się gdzieś indziej obejrzeć.

Bo malarstwo Tadeusza Hołówki to nie „picassy": szczególnie „Wiosna" i „Pejzaż". „Ona" mi się podobała.

Ireneusz Olszewski prezentuje tematykę sportową w sposób subtelny. „Oczekiwanie" nie dłuży się.

Interesujące obrazy („Melodia", „Meduza") wystawia Bernard Szymański.

Każdy artysta prezentuje pięć obrazów. „Wystawa Trzech" otwiera stałą Galerię Sztuki w kawiarni „Bałaton".

Należą się słowa uznania Towarzystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych w Łodzi i kierownictwu „Bałatonu", bowiem: „Oczekujemy od naszych artystów współczesnych, którzy chcą być współcześni — aby dali nam przeczuć, to czego jeszcze nie wiemy o sobie samych, aby dali odczuć nam brak i gorące pragnienie powstania nowego człowieka; nauczyli nas podziwiać i pragnąć rzeczywistości".

SOBOTA I NIEDZIELA

Święto Odrodzenia. Centralne uroczystości święta 22 Lipca rozpoczną się w dniu 19 bm. Wspólnym posiedzeniem ŁK FJN i Rady Narodowej m. Łodzi w Teatrze Nowym. W programie uroczystej akademii referat mgr Edwarda Kaźmierczaka — w części artystycznej występ Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego.

Przekazanie wielu obiektów do eksploatacji, zobowiązania, manifestacje, czyny — to drobna część tego, czym Święto Odrodzenia w historycznym millenijnym roku można uczcić.

A artyści? Rozliczne wystawy, imprezy, występy. Ale nade wszystko: „...— aby dali nam przeczuć to, czego jeszcze nie wiemy o sobie samych, aby dali odczuć nam brak i gorące pragnienie powstania nowego człowieka; nauczyli nas podziwiać i pragnąć rzeczywistości".

I żeby w nowym tysiącleciu nowy człowiek, wolny od lęku, chorób i zawiści, już wiedział o sobie — że podziwiać i pragnąć coraz pełniejszej rzeczywistości, to jego cel.

* * *

Serdeczne gratulacje dla laureatów Nagród Woj. Łódzkiego za upowszechnienie kultury.

Nagrody Woj. Rady Narodowej otrzymali: mgr Jan, Piotr Dekowski, doc. dr Jan Wegner, Józef Rogus z Łasku i Krystyna Adamkiewicz z Pabianic.

R. Żołoda

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

JOHN KIPPAX

ROZBITKOWIE

Twarze astronautów były skupione i ponure, ponieważ wiedzieli, że w przypadku niezbyt szczęśliwego lądowania grozi im śmierć.

Poczuli jak coś popchnęło statek i w kabinie zapaliły się cztery światła. Długie palce Baileya szybko poruszały się na pulpicie sterowniczym. Potem z westchnieniem ulgi dotknął kilku przełączników i opadł na oparcie fotela. Jego szczupła twarz pokryła się błyszczącymi kropelkami potu.

Crom, niski, dobrze zbudowany, umiejący panować nad swoimi uczuciami, spojrzał na swego kolegę i uśmiechnął się.

— No, wylądowaliśmy.

Bailey był poważny.

— Ta-ak. Kiedy stąd się wydostaniemy, ktoś mi za to zapłaci. Drogo zapłaci.

Crom wyjął z kieszeni papierosy i zapalił. Nie drżały mu ręce.

— Sądzisz, że nam po prostu nie starczyło paliwa?

Bailey ze złością spojrzał na niego.

— Pewnie. Przecież przy lądowaniu musiałem włączyć rezerwę! Jest taki inżynier, nazywa się Ramires, będzie miał się z pyszna, kiedy wrócimy! — Wciąż jeszcze z ponurą twarzą Bailey wstał i podszedł do iluminatora. — Ta planeta wygląda dość przyjemnie — powiedział. — To prawie Ziemia sprzed pięćdziesięciu milionów lat.

— Zwrócił się w tę stronę, gdzie dymiąc papierosem siedział Crom. — No, włącz radiostację i powiedz co się nam przytrafiło.

Crom pochylił się nad pokrętłami nadajnika. Po włączeniu odbiornika usłyszał trzask przeszkód atmosferycznych. Bailey czekał bębniąc ze zdenerwowania palcami. Wreszcie powiedział:

— Wszyscy milczą. Dlaczego?

— Nie wiem.

— Czy nadajnik działa?

— Oczywiście. Jeszcze raz spróbuję. Tym razem będę wołał przez mikrofon: „Oppenheimer", „Oppenheimer", tu „Iks-2", tu „Iks-2". 5-3-7, 6-2-1, 4-7-8. Czy mnie słyszycie?

Crom powtórzył kilka razy, a potem zaczął nasłuchiwać, ale w odbiorniku były tylko trzaski wyładowań atmosferycznych.

Bailey spojrzał przez iluminator i zaproponował:

— Najpierw zjedzmy coś, a potem znowu włączymy radiostację.

Po godzinie, gdy przekonali się, że radiostacja działa bez zarzutu, Crom włączył mechanicznego nadawcę i podszedł do Baileya, który przeprowadzał chemiczną analizę powietrza i sprawdzał jego wilgotność.

— Zgadza się. Zupełnie jak w kalendarzu astronomicznym. Ta planeta do złudzenia przypomina Ziemię. Kierownik będzie zadowolony.

— Czy będzie miał okazję?... Przecież nikt nie wie, że tu jesteśmy — powiedział Crom. — Za tydzień będziemy szukać jakiegoś pożywienia. Przedtem byłem badaczem planet, a teraz jestem w sytuacji człowieka, który będzie tutaj szukał jedzenia, by się utrzymać przy życiu.

Crom wziął do ręki kalendarz astronomiczny i zaczął przewracać kartki.

— Zielona gwiazdka oznacza, że badania były tutaj przeprowadzane pięćset lat temu.

— No i co?

— Gruba warstwa jonosfery — mruknął Crom.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Pewnie. Dlatego nie możemy połączyć się z „Oppie". Jonosfera tej planety jest tak gruba, że nasze sygnały radiowe nie mogą jej przebić.

— To straszne — powiedział cicho Bailey.

* * *

Ciepłe, żółte słońce oświetlało brunatne kamienie płaskiej w tym miejscu planety. Po obu stronach gór znajdowały się doliny pokryte znajomą na pierwszy rzut oka roślinnością. Do uszu dolatywał szmer strumienia. W pobliżu znajdowało się jezioro z szeroką piaszczystą plażą.

Astronauci szli wzdłuż brzegu do tego miejsca, gdzie szumiący strumień wpadał do jeziora. Ubrani byli w lekkie kombinezony, na pasie mieli pistolety. Bailey prawie nic nie mówił i Crom pomyślał, że jego towarzysz uważa go winnym tego co się stało. A nawet gdyby wcześniej dokładnie przestudiował kalendarz astronautyczny i znał grubość jonosfery tej planety, czyż mógłby zainstalować na statku silniejszą radiostację?

Siedząc na brunatnym kamieniu Crom patrzył na strumień, a potem spojrzał tam, gdzie stał ich statek, teraz taki bezsilny.

— Zupełnie jak w domu — powiedział.

— Aha — mruknął Bailey.

— Ciągle myślisz o tym, co zrobisz z mechanikiem, kiedy wrócimy?

— Tak.

— Jeżeli wrócimy.

— Przyleci po nas! — wykrzyknął Bailey.

— Na pewno przyleci, ale nie wiadomo kiedy.

— Aha.

— Nie rozpaczaj, bo mogło być gorzej. Wyobraź sobie, że moglibyśmy wylądować w jakimś lodowatym świecie, ubrani w nasze skafandry.

Poszli dalej wzdłuż jeziora i po pewnym czasie znaleźli się w rzadkim lesie. Potem skręcili w stronę drugiego strumienia.

— Popatrz, dlaczego łożysko tego strumienia jest takie proste?

Crom odpiął kaburę pistoletu i obaj w milczeniu zaczęli wspinać się pod górę, aż doszli do znajdującej się tu ścieżki.

— Nie ruszaj się. Spójrz. Czy widzisz te zadrapania i ślady?...

— Tak, tu ktoś chodził — wyszeptał Crom. — Jakiś wielkolud. — Wyjął pistolet. — Widocznie na tej planecie żyją olbrzymie zwierzęta.

— To chyba jakieś zwierzę, ale jakie...

Szli w milczeniu jeden za drugim aż do pieczary z dużym, prawie dwumetrowym wejściem. Wkroczyli do środka i przez chwilę ich oczy walczyły z panującą tu ciemnością. Bailey zapalił latarkę. W snopie światła ukazał się mały żelazny stół. W głębi pieczary stało łóżko z resztkami przegniłej pościeli. Ale nie to przyciągało oczy astronautów: przy stole, pochylony, siedział szkielet człowieka!

Podeszli bliżej. Bez wątpienia były to kości człowieka.

— Kto to był? — wyszeptał Crom. Powoli oświetlał latarką ściany, zobaczył resztki żelaznych mebli, kawałki tego, co kiedyś było skafandrem.

— Niezbyt pocieszający widok dla nas — powiedział cicho.

— Wszyscy kiedyś umrzemy — odparł Bailey. — Popatrz, co to jest?

Na szafie leżało coś, co przypominało książkę. Bailey wziął ją do ręki, zdmuchnął kurz i odczytał wyblakły napis: „Dziennik statku kosmicznego „Burzliwy", styczeń — grudzień 2827 roku".

— Który rok?

— 2827... prawie trzysta lat temu.

Bailey otworzył dziennik i przeczytał: „...nie mogę dłużej żyć. Gdyby nie Pietaszek, na pewno bym zwariował... cenny ładunek zginął..."

Tekst dziennika był prawie nieczytelny.

— Trzysta lat — wyszeptał Bailey.

— Czytamy dalej? — spytał Crom.

— Nie. Lepiej chodźmy zrobić coś z radiostacją.

— Mamy pecha. Gdyby nasz statek był większy — zamiast baterii mielibyśmy generator.

— Mimo to trzeba próbować.

Schodzili w dół tą samą drogą którą przyszli.

— Ciekawe jak długo on tu żył?

— Jeżeli on tu żył to i my jakoś przetrzymamy. Jutro poszukamy drugiego szkieletu.

— Czyjego?

— Pietaszka.

— To mógł być pies.

— Możliwe... Patrz, tu na piasku są wyraźne ślady człowieka.

Spojrzeli na siebie.

— Albo jakiejś człekokształtnej istoty...

* * *

Wszedłszy ponownie do pieczary, Crom chciał zapalić latarkę, ale Bailey chwycił go za rękę.

— Co się stało?

— Tam ktoś jest! — powiedział Bailey wyciągając pistolet.

Nagle ozwał się czyjś głos: „Panie". Głos był spokojny i trochę przytłumiony.

— Słyszałeś? — spytał Crom.

— Panie — powtórzył głos, tym razem zupełnie wyraźnie. W głębi pieczary poruszała się jakaś postać.

Skierowali światła latarek w tamtą stronę, a one wychwyciły z ciemności błyszczącą metalem człekokształtną postać.

— Panie.

Bailey stał przy wejściu nie spuszczając z robota swojej latarki.

— Podejdź tu — powiedział głośno.

Robot podszedł i zatrzymał się przy wejściu. Był średniego wzrostu; prawdopodobnie zaopatrzono go w dostatecznie rozwinięty mózg. Crom przeczytał umieszczoną na robocie tabliczkę: „Uniwersalny robot, Birmingham, Anglia. Seria Nr 43123.R/Z".

— Co znaczy R/Z?

— Jestem Robotem Różnych Zdolności. Pietaszek.

— Pietaszek?

— Mam imię, jak wszyscy ludzie.

— W jaki sposób się tutaj znalazłeś?

— „Burzliwy" był jednym z pierwszych międzyplanetarnych statków towarowych. W czasie lotu przestały działać niektóre silniki, dlatego zmieniliśmy kurs i wylądowaliśmy na tej planecie. Przy życiu pozostał jedynie kapitan Holland.

— Czy pełniłeś jakąś funkcję na statku?

— Nie. Statek wiózł transport robotów... Jestem już bardzo słaby. Niebawem ze mną stanie się to samo co z kapitanem.

— Przecież cała ta historia miała miejsce trzysta lat temu! — wykrzyknął Bailey.

— Tak — potwierdził Pietaszek. — Trzysta lat.

— W jaki sposób udało ci się tak długo wytrzymać?

— Chodźmy — powiedział robot i poszedł ścieżką wydeptaną przez siebie. Trochę dalej za występem skalnym znajdowała się druga pieczara pełna skrzyń i pudełek. Na ziemi leżało mnóstwo rozłożonych na części ciał robotów.

— Dzięki nim przetrwałem — powiedział Pietaszek. — Wykorzystałem ich jako części zamienne, ale w tej chwili wszystko już się wyczerpało.

Crom pochylił się nad jedną ze skrzyń: „Nadajnik radiowy z nieograniczonym promieniem działania".

Crom i Bailey spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

* * *

Zapadał już wieczór gdy astronauci skończyli montować wielki stary nadajnik.

— Spróbujemy? — zaproponował Bailey.

Crom włożył słuchawki na uszy.

— Dobrze. Ten nadajnik jest dwukrotnie silniejszy od naszego. Fale radiowe łatwo sobie poradzą z najgrubszą nawet warstwą jonosfery.

Crom przycisnął klucz. Zapłonęła malutka żółta lampka. Odetchnął z ulgą i rozejrzał się dokoła.

Robota nie było.

— Gdzie jest Pietaszek?

— Nie wiem.

— Już był zupełnie słaby.

— Nie zapominaj, że to tylko maszyna.

— Tak — powiedział Crom w zamyśleniu — masz rację. — Sprawdził jeszcze raz strojenie i zaczął wywoływać: Tu „Iks-2", „Iks-2", statek kosmiczny „Iks-2" woła „Oppenheimera". Znajdujemy się na planecie Krodos-7. Przymusowe lądowanie...

Nagle w zupełnie martwym odbiorniku dały się słyszeć trzaski a po chwili:

— Halo, Crom, tu „Oppenheimer"... „Oppenheimer" woła „Iks-2"... Za dwanaście godzin wyślemy zwiadowcę Nr 3...

— Jestem szczęśliwy — powiedział Crom po skończonej łączności — chciałbym podzielić się z kimś moją radością. Już wiem! Chodź, znajdziemy Pietaszka i powiemy mu o tym. Bez niego nie odszukano by nas tak prędko.

— Chodźmy.

Przy owalnym wejściu do pieczary leżał robot. Na jego piersi nie paliła się już sygnałowa żarówka.

Crom pochylił się nad nim.

— Pietaszek!

Tym razem Bailey nie przypominał mu, że to jest tylko maszyna. Crom kilka razy przekręcił włącznik — bez rezultatu.

— To smutne — powiedział Bailey.

— Tak — odparł Crom cichym głosem. Przypomniał sobie szkielet kapitana w pieczarze, potem spojrzał na robota.

— Ostatnie ogniwo też pękło — wyszeptał. — Pochowajmy kapitana Hollanda. Jak myślisz, chyba nie będzie w tym przesady jeżeli pochowamy również Pietaszka.

Bailey popatrzył na niego w zamyśleniu.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

KAMIEŃ I SŁOWO

W dwa czy trzy lata po wojnie stał w głębi miejskiego parku w Piszu, niewielkim mazurskim mieście; wysoki, mchem obrosły głaz z wyrytym głęboko napisem: „Dieses Land bleibt ewig deutsch". Ten kraj pozostanie na wieki niemieckim. Ukośnie na tamtym napisie namalowano czerwoną farbą: „Myśmy jednak wrócili".

Bardzo mi się to wtedy podobało, taki dialog na kamieniu. Dialog nierychliwy, rozłożony na stulecia i na dwie niepodobne do siebie mowy. Zmartwiłbym się, gdyby mi powiedziano, że głazu już nie ma, albo że „uporządkowano" na nim hasła retuszując niełatwą historię tej ziemi.

Spośród wielorakich czynników, przekazujących poprzez wieki tradycję, prawdę, wiedzę o przodkach, o świecie i o nas samych, najtrwalsze niewątpliwie są te dwa: kamień i słowo. Przepraszam, żyjemy w epoce, kiedy wszystko się już zrelatywizowało. Więc ściślej: najtrwalsze b y ł y d o t y c h c z a s kamień i słowo. Jeżeli w naszym kraju mniej znamy sędziwych świątyń, zamków, dworzyszcz i mostów niż można napotkać w innych okolicach Europy i świata, to nie dlatego, żeśmy nie umieli budować, tylko dlatego, że nie mając za dużo kamieni, budowaliśmy z drzewa. Na pewno ani gorzej, ani biedniej niż na przykład greccy czy hiszpańscy chłopi. Ale drzewo łatwo było podpalić, a kamienne budowle dopiero od niedawna potrafimy skutecznie i bez wysiłku zamieniać w pył, z którego nawet archeolodzy za następnych tysiąc lat niczego nie odczytają. W środku Sofii można oglądać resztki starorzymskiej budowli, którą kolejni zdobywcy zamieniali — zapewne nie raz to na kościół, to na meczet, to na więzienie. Budowla stała i stała. W naszych stronach, każdy zdobywca zamieniał to co zdobył po prostu w popiół. Na popiele w parę tygodni wyrastały jeżyny, a po wielu latach szumiał spokojnie las.

Dziś niestety — jak już wspomniano — szanse się wyrównały, oczywiście w dół. Nie ma trwałych materiałów, chociaż wymyślamy coraz twardsze gatunki stali i betonu. A przecież chcemy mieć poczucie ciągłości bytu dłuższego, niż życie jednego pokolenia... Musimy, naprawdę musimy znać, rozumieć, kochać historię własnego narodu, widzieć ją i rozumieć na tle historii świata. Szanujmy kamiennych świadków tej historii, pozwólmy im mówić, słuchajmy co mówią kamienie. Ale jest jeszcze słowo. Kto wie, czy nie bardziej niezniszczalne, niż głazy z wyrytymi runami. Są nazwy i imiona dostojne, zrodzone przed wieloma setkami lat, nadal żywe, znane, znaczące. Te nazwy i imiona rzek, dolin, jezior i osad, ludzi i gór, pustyń i miast też świadczą o historii, a czasem są tej historii par excellence nosicielem. Dlaczego nie szanujemy nazw?

Kilkanaście lat temu rozmawiałem z Żydem noszącym śmiesznie brzmiące nazwisko. Nie chciał go jednak zmienić. Z całej mojej rodziny zostało mi tylko ono — mówił. W Warszawie, której osiemsetlecie istnienia obchodziliśmy niedawno, z mnóstwa ulic też przed dwudziestu paru laty zostały same tylko nazwy. Nie trzeba ich było zmieniać, niechby Chmielna została Chmielną, a Zgoda Zgodą. Nie jestem całkowicie przekonany, czy łódzka ulica Południowa nie powinna była pozostać przy swej nazwie. Pomińmy już fakt, że „ulica Rewolucji 1905 roku" jest dziwacznym tworem językowym, trudnym do deklinacji, zbyt długim do wypowiedzenia, sprawiającym kłopoty przy adresowaniu i tak dalej. Ja wiem, tu się toczyły walki, tu wzniesiono barykady. Czcimy ich pamięć i tradycję. Ale przecież czcimy jako pamięć walk na Południowej, barykad na Południowej. Można było uniknąć konieczności dodawania dla niewtajemniczonych — „obecnie Rewolucji 1905 roku".

Na całym świecie stare, obrosłe historią miasta troskliwie pielęgnują urocze, pełne wdzięku nazwy ulic, niezmieniane czasem od stuleci. U nas — ponieważ mniej mamy kamieni — tym większą powinniśmy przywiązywać wagę do pomników utrwalonych w słowie. Szanujmy stare nazwy! Niech i one świadczą pełnym głosem, że jako dojrzały, zorganizowany, świadomy naród istniejemy już od co najmniej tysiąca lat.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2073 VII 66. E-11